

**JUDE  
DEVERAUX  
JUDITH  
McNAUGHT**

**DARY LOSU**

Przełożyła

Katarzyna Kasterka

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału:

*SIMPLE GIFFS*

„Just Curious” copyright © 1995 by Deveraux, Inc. „Miracles” copyright © 1994 by Eagle Syndication, Inc. „Change of Heart” copyright © 1994 by Deveraux, Inc. „Double Exposure” copyright © 1995 by Eagle Syndication, Inc. Originally published by Pocket Books, a Division of Simon & Schuster Inc. All Rights Reserved

Ilustracja na okładce:

Piotr Łukaszewski

Redaktor prowadzący serię:

Ewa Witan

Redakcja:

Ewa Witan

Redakcja techniczna:

Małgorzata Kozub

Korekta:

Małgorzata Dzikowska

Skład i łamanie:

Ewa Wójcik

Opracowanie graficzne serii:

Zombie Sputnik Corporation

ISBN 83-7337-541-4

Warszawa 2003

Biblioteczka pod Różą

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Świętemu Judzie,  
patronowi spraw beznadziejnych  
nad tą bardzo się napracowałeś  
Dziękuję

*Jude Deveraux*

# Zmiana uczuć

# 1

Mężczyzna za biurkiem spoglądał na siedzącego naprzeciwko chłopca z mieszaniną zazdrości i podziwu. Zaledwie dwunastolatek - a umysł, którego nie powstydziliby się matematyczny geniusz. Nie mogę okazać zbytniego entuzjazmu, pomyślał. Muszę zachować dystans, chociaż bardzo chcielibyśmy go mieć w Princeton i to najchętniej przykutego do komputera przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przysłano go do Denver oficjalnie po to, by porozmawiał z grupą kandydatów, ubiegających się o stypendium naukowe, ale tak naprawdę władze wydziału były zainteresowane tylko tym chłopcem i całe spotkanie zorganizowano tak, by odbyło się w czasie i miejscu najdogodniejszym właśnie dla niego. Dziekan informatyki postarał się, aby rozmowy przeprowadzono w biurowcu należącym do jego starego przyjaciela, stojącym w pobliżu dzielnicy, w której mieszkał chłopak - tak by mógł przyjechać tu na rowerze.

- Hm, hm - odchrząknął mężczyzna, starając się mówić grubszym głosem, bo chciał uchodzić za starszego niż był w rzeczywistości. Lepiej, by ten dzieciak się nie zorientował, że ma do czynienia zaledwie z dwudziestopięcioletkiem, bo jeśli coś się nie powiedzie, młody naukowiec znajdzie się w kłopotliwej sytuacji.

- Jesteś jeszcze niepełnoletni - oświadczył, próbując uchodzić co najmniej za sześćdziesięcioletka. - To oznacza pewne komplikacje, ale jak sądzę, uda nam się obejść przepisy. Princeton chętnie pomaga zdolnej młodzieży. Poza tym...

- A jakim dysponujecie sprzętem? Na jakich komputerach mógłbym pracować? Wiele innych uniwersytetów składało mi już różne oferty...

Młody mężczyzna spojrział na siedzącego przed nim chłopca i pomyślał, że ktoś powinien był go udusić jeszcze w kołysce. Niewzdzięczny mały...

- Jestem pewien, że nasz sprzęt okaże się całkiem odpowiedni, gdyby jednak czegoś ci brakowało, bez problemu ściągniemy, co potrzeba.

Chłopak był wysoki, ale bardzo chudy - jakby waga nie mogła nadążyć za wzrostem. I chociaż miał jeden z najwspanialszych mózgów stulecia, wyglądał jak postać z książki o Tomku Sawyerze: jasne, nieposkromione włosy, piegowata twarz i ciemnoniebieskie oczy ukryte za szklami dość grubymi, by można ich użyć jako szyb w wielkiej ciężarówce.

Elijah J. Harcourt - tak brzmiało jego nazwisko. IQ powyżej dwustu punktów. Prowadzi badania nad komputerem nowej generacji, który potrafiłby samodzielnie myśleć. Sztuczna inteligencja. Człowiek mówiłby komputerowi, czego od niego chce, a maszyna sama decydowałaby, jak to zrobić w najbardziej efektywny sposób. Zastosowanie podobnego instrumentu dawałoby ludziom niewyobrażalne możliwości.

Tymczasem ten mały, zadowolony z siebie smarkacz zupełnie nie był wdzięczny za to, co mu oferowano - a wręcz domagał się więcej! Młody naukowiec wiedział, że ryzykuje swoją karierę, ale nie mógł już dłużej znosić wahania chłopaka. Wstał i zgarnął dokumenty do teczki.

- Może powinienes przemyśleć naszą ofertę - oświadczył, z trudem maskując gniew. - Rzadko komu składamy podobną propozycję. Umówmy się, że dasz nam odpowiedź do Bożego Narodzenia.

Chłopak nie okazał żadnych emocji. Zimny, mały gnojek, pomyślał mężczyzna. Zamiast serca ma pewnie komputerowy chip. Może w ogóle nie jest istotą z krwi i kości, a jednym ze swoich własnych wytworów? Lekceważąc dzieciaka, poczuł się bardziej dowartościowany, bo jego IQ wynosiło „zaledwie” 122.

Szybko ucisnął dłoń chłopca, odnotowując przy tym w duchu, że za rok ten dzieciak będzie wyższy od niego.

- Odezwę się niedługo - rzucił na pożegnanie i wyszedł z pokoju.

Eli z trudem opanował drżenie. Choć na zewnątrz wydawał się tak chłodny, w środku wszystko się w nim gotowało. Princeton! Kontakt z prawdziwymi naukowcami! Z ludźmi, których interesowało w życiu coś więcej niż ostatnie wyniki rozgrywek futbolowych.

Ruszył w stronę drzwi powoli, by jego rozmówca zdążył się oddalić. Eli wiedział, że ten facet go nie polubił, ale dla niego to nie pierwszozna. Już bardzo, bardzo dawno temu nauczył się nieufności wobec ludzi. Od czasu gdy skończył trzy lata, wiedział że jest inny

niż reszta dzieci. Kiedy miał pięć lat, matka zaprowadziła go do szkoły na testy kontrolne, mające sprawdzić, do jakiej grupy należy go skierować. Zajęta innymi rodzicami i dziećmi, nauczycielka poleciła chłopcu wziąć z półki książkę i coś przeczytać. Miała na myśli jedną z wielu książeczek z obrazkami - chciała się jedynie przekonać, które z dzieci rodzice nauczyli czytać, a które całe życie spędziły przyklejone do ekranu telewizora.

Jak każde dziecko Eli chciał zaimponować nauczycielce, wspiął się więc na krzesło i zdjął podręcznik akademicki pod tytułem „Zaburzenia dyslektyczne”, a potem stanął za plecami nauczycielki i zaczął półgłosem czytać pierwszą stronę. Eli miał naturę samotnika, a mama nigdy nie zmuszała go do robienia rzeczy, na które nie miał ochoty, właściwie więc nie kontaktował się z innymi dziećmi. Stąd nie miał pojęcia, że swobodne czytanie podręcznika akademickiego w wieku zaledwie pięciu lat jest czymś nadzwyczajnym. On chciał jedynie zdać test i dostać się do najbardziej zaawansowanej grupy.

- Już wystarczy, synku - przerwała mu matka, gdy płynnie przeczytał pół strony. - Myślę, że pani Wilson zapisze cię tam, gdzie chcesz. Prawda, pani Wilson?

Mimo że był zaledwie pięcioletkiem, uwagi Eliego nie umknął przerażony wzrok nauczycielki. Jej wyraz twarzy z całą pewnością oznaczał: „A co ja mam począć z takim wybrykiem natury?!”.

Od pierwszych chwil w szkole Eli nauczył się, co to znaczy być innym. Szybko dowiedział się też, co to zawiść i samotność w grupie. Tylko dla swojej matki był normalny. Ona nie uważała, że jest dziwny: był po prostu jej dzieckiem.

Teraz, wiele lat później, wychodził ze spotkania z naukowcem z Princeton, nie mogąc do końca opanować zdenerwowania, kiedy jednak ujrzał Chelsea, natychmiast posłał jej jeden ze swych rzadkich uśmiechów. Eli miał sześć lat, gdy poznał Chelsea Hamilton, która nie była aż tak inteligentna jak on, ale wystarczająco bystra, by mogli ze sobą rozmawiać. Na swój sposób Chelsea też należała do odmieńców. Pochodziła z niezmiernie bogatej rodziny i już jako sześciolatka odkryła, że ludzie są bardziej zainteresowani tym, co posiada, niż jaka jest. Tak więc gdy Eli i Chelsea po raz pierwszy się spotkali - dwójka „dziwadła” w nudnej, niewielkiej grupie dzieciaków - natychmiast zostali przyjaciółmi na śmierć i życie.

- No i co? - zainteresowała się Chelsea, schylając lekko głowę, by spojrzeć Eliemu w oczy.

Pół roku starsza, dotąd była od niego wyższa, ale teraz gwałtownie ją doganiał.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Nie umawialiśmy się przecież.

Celowo kazał jej czekać na nowiny.

- Coś z tobą dziś nie tak, mózgowcu. Przecież ten biurowiec należy do mojego ojca. - Potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami. - A poza tym ojciec zna dobrze dziekana informatyki w Princeton. Wiedziałam o tym spotkaniu od dwóch tygodni.

Dwunastoletnia Chelsea już zapowiadała się na niezwykłą piękność. Jej problemem w życiu będzie to, o czym inne kobiety bezskutecznie śnią po nocach: zbyt wysoka, zbyt szczupła, zbyt inteligentna, zbyt bogata. Ich domy stały zaledwie dziesięć minut drogi jeden od drugiego, pod względem wartości jednak dzieliły je eony lat świetlnych. Całe mieszkanie Eliego bez problemu zmieściłoby się w marmurowym holu rezydencji rodziców Chelsea.

Kiedy chłopiec wciąż milczał, spojrzała beznamiętnie przed siebie, po czym oznajmiła:

- Tata dzwonił wczoraj wieczorem. Tak bardzo rozpaczałam z tęsknoty za nim, że najprawdopodobniej kupi nam nowy CD-ROM. Może pozwolę ci na niego popatrzeć.

Eli uśmiechnął się ponownie. Chelsea nawet nie uświadomiła sobie, że powiedziała „nam”, mając na myśli ich dwoje, oczywiście. Była niezrównana, gdy chodziło o emocjonalny szantaż wobec rodziców, którzy większość życia spędzali na podróżach dookoła świata, pozostawiając prowadzenie interesów i opiekę nad najmłodszą córką starszemu rodzeństwu Chelsea. Kilka wylanych łez i rodzice natychmiast dawali jej wszystko, co można mieć za pieniądze.

- Chcą mnie w Princeton - powiedział w końcu, gdy wyszli na zalaną słońcem ulicę. Jesienne powietrze było rześkie i przyjemne.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła, potrząsając w zachwycie głową. - Kiedy? Na jakich warunkach?

- Miałbym pojechać na wiosenny semestr, na próbę, i podejść do letniej sesji. Jeżeli byliby ze mnie zadowoleni, mógłbym zacząć od następnej jesieni jako pełnoprawny student.

Rzucił jej ukradkowe spojrzenie spod oka i w tej sekundzie, gdy przestał się pilnować, Chelsea zobaczyła, jak bardzo mu na tym zależało. Eli nienawidził myśli o szkole średniej, o konieczności przesiadywania w klasie z bandą niedouczonej prostaków, dumnych ze swej nieustającej ignorancji. Oferta z Princeton dałaby mu szansę przeskoczenia tego etapu i zajęcia się czymś sensownym.



- A więc mamy cały rok na wspólną naukę! - wykrzyknęła.

Poproszę tatę, żeby nam kupił...

- Nie mogę przyjąć tej propozycji - oznajmił Eli.

Chelsea potrzebowała kilku chwil, by zrozumieć jego słowa.

- Nie możesz iść do Princeton? - wyszeptała w końcu. - Ale dla czego?

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby nie dostać - czy nie móc zrobić - czegoś, na co naprawdę miała ochotę.

- A kto wówczas zająłby się mamą? - zapytał Eli cicho z udęczoną miną.

Chelsea już otworzyła usta, by powiedzieć, że przede wszystkim powinien myśleć o sobie, szybko jednak ugryzła się w język. Mama Eliego, Randy, rzeczywiście wymagała opieki. Miała najbardziej miękkie serce na świecie: nikomu nie odmawiała wsparcia i pomocy. Chelsea nie odczuwała w życiu braku kogoś tak czułego, jak matka, a mimo to nie raz rzucała się w miękkie ramiona cieplej i serdecznej mamy Eliego.

Ale właśnie z powodu swej życzliwości i wielkiego serca Randy wymagała ochrony. Była niczym jagnię żyjące w świecie wygłodniałych wilków. Gdyby nie ciągła czujność Eliego... Uff, Chelsea nawet nie chciała myśleć, co wtedy mogłoby spotkać jego matkę. Wystarczy tylko popatrzeć na faceta, za którego wyszła - na wstrętnego ojca Eliego: hazardzistę, babiarza i kłamcę.

- Kiedy masz im dać odpowiedź? - spytała miękkim głosem.

- W moje urodziny - odrzekł.

To była jedna z jego słabostek: zamiast „Boże Narodzenie” zawsze mówił „moje urodziny”. Mama Eliego często powtarzała, że był jej gwiazdkowym prezentem od Pana Boga i nigdy nie pozwoli, by cierpiał tylko dlatego, że ona miała szczęście dostać taki podarunek. Stąd w pierwszy dzień świąt jedna porcja prezentów leżała pod drzewkiem, a druga na stole - tuż obok wielkiego, kolorowego tortu, nie mającego nic wspólnego z Gwiazdką.

Eli i Chelsea wędrowali wolno czystymi ulicami Denver. Nie wsiedli do trolejbusu - Chelsea wiedziała, że jej przyjaciel musi wiele przemyśleć, a szło mu to najlepiej, gdy spacerował bądź jeździł na rowerze.

Wiedziała też, że Eli nigdy nie zostawi swojej mamy bez opieki. Jeśli miałyby wybierać pomiędzy Princeton, a czuwaniem nad matką, bez wahania poświęciłby studia. Bo choć obcym mógł się wydawać zimny i wyrachowany, to gdy chodziło o dwie osoby, na których zależało mu najbardziej w życiu - o Chelsea i mamę - był miękki jak wosk.

- Wiesz, co? - odezwała się po chwili pogodnym tonem - A może ty przesadzasz? Może twoja mama świetnie sobie bez ciebie poradzi? - Niewiele brakowało, a powiedziałyby „bez nas”. - Kto się nią opiekował, zanim się urodziłeś?

Eli posłał jej długie, znaczące spojrzenie.

- Właśnie nikt i zobacz, do czego to doprowadziło.

- Twój ojciec - powiedziała Chelsea znużonym tonem, po czym zamilkła, jakby coś intensywnie rozważała. - Słuchaj, są już przecież dwa lata po rozwodzie. Może twoja mama znowu weźmie ślub i nowy mąż się nią zajmie, jak należy.

- A za kogo wyszłaby tym razem? Ostatni facet, z którym poszła na randkę, „zapomniał” portfela, musiała więc zapłacić za kolację i pełen bak paliwa. A tydzień później to ja odkryłem, że ten człowiek na dodatek jest żonaty.

Niestety, złote serce Randy nie ograniczało się jedynie do dzieci, ale rozciągało na wszelkie żywe istoty. Eli utrzymywał, że gdyby to zależało od jego matki, w mieście nie byłyby potrzebne żadne schroniska dla bezdomnych zwierząt, ponieważ niechciane zwierzęta z całego Denver mieszkająby razem z nimi. Przez chwilę przed oczami Chelsea stanął obraz łagodnej Randy otoczonej skrzywdzonymi czworonogami i niewykształconymi mężczyznami, wyciągającymi od niej pieniądze. Dla Chelsea „niewykształcony mężczyzna” to była najgorsza rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić.

- Może gdy powiesz mamie o propozycji z uczelni, przyjdzie jej do głowy jakieś rozwiązanie - rzuciła z nadzieją w głosie.

Eli przybrał zacięty wyraz twarzy.

- Moja matka oddałaby za mnie życie. Gdyby się dowiedziała o ofercie z Princeton, osobiście by mnie tam odstawiła. Ona zawsze myśli tylko o innych, nigdy o sobie. Moja mama...

Chelsea wzniosła oczy ze zniecierpliwienia. Eli miał najlogiczniejszy najprecyzyjniejszy umysł na świecie, lecz gdy chodziło o matkę, całkowicie tracił zdrowy rozsądek. Ona także uważała Randy za kochaną kobietę, wiedziała jednak, że daleko jej było do świętej. Przede wszystkim nie umiała narzucić sobie żadnej dyscypliny. Jadła za dużo, czytała zbyt wiele ogłupiających książek i traciła czas na kompletne bzdury, jak na przykład szycie kostiumów halloweenowych dla Eliego i Chelsea. Oczywiście, żadne z nich nigdy nie powiedziało jej, że uważa Halloween za święto dla smarkaczy. Zamiast więc biegać po ulicach i wypraszać po domach cukierki, zasiadali przed komputerem, uprzednio wysyłając kamerdynera do sklepu po rozmaite słodczyce, które potem pokazywali mamie Eliego, jako

otrzymane trofea, by wciąż wierzyła, że są „normalnymi” dziećmi.

I tylko raz Chelsea odważyła się powiedzieć Eliemu, że siedzenie w niewygodnych, groteskowych kostiumach przy komputerze uważa za nieco absurdalne. Wykonując jakieś skomplikowane działania logarytmiczne, odparł na to tonem wykluczającym wszelką dyskusję: „Moja mama je dla nas zrobiła”. I już nigdy więcej nie poruszyli tego tematu.

## 2

Kiedy Eli wjeżdżał na popękany podjazd przed swoim domem, gdzie ze szpar w betonie wychylała się trawa i chwasty, dostrzegł jeszcze tylne światła samochodu ojca spieszącego się ulicą.

- Cholerny pasożyt! - mruknął pod nosem, dobrze wiedząc, że Leslie już się postarał, by umknąć z domu przed powrotem syna.

Ilekoć w głowie Eliego zadźwięczało słowo „ojciec”, od razu robiło mu się niedobrze. Leslie Harcourt nigdy nie był dobrym rodzicem ani dobrym mężem. Przez całe życie starał się przed żoną i synem uchodzić za kogoś „ważnego”. Zbyt ważnego, by tracić czas na rodzinne rozmowy, zbyt ważnego, by wyjść gdzieś z synem i żoną, i zbyt ważnego, by poświęcać im swój czas i uwagę. Dla Lesliego Harcourta liczyli się tylko inni ludzie. „Moi przyjaciele mnie potrzebują”, słyszał niejednokrotnie Eli. Mama odpowiadała wówczas: „Ale ja też ciebie potrzebuję, Leslie. Eli nie ma ubrania do szkoły, lodówka świeci pustkami, a mój samochód od trzech tygodni stoi zepsuty. Potrzebujemy jedzenia, ubrania i transportu”.

W owych chwilach ojciec przybierał taki wyraz twarzy, jakby wysilał się na wprost anielską cierpliwość wobec kogoś, kto nie jest w stanie pojąć najprostszych życiowych spraw.

- Mój przyjaciel właśnie rozstał się ze swoją dziewczyną. Potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać, a oprócz mnie nie ma nikogo. Randy, on strasznie cierpi. Nie rozumiesz? Cierpi! Muszę się z nim spotkać.

Eli słyszał podobną śpiewkę tysiące razy. Niekiedy mama traciła cierpliwość i mówiła ostrym głosem:

- Może gdyby twoi przyjaciele częściej wyplakiwali się na ramieniu swoich dziewczyn, nie porzucałyby ich tak często.

Leslie Harcourt nigdy jednak jej nie słuchał, a do tego był mistrzem manipulacji - bez trudu potrafił nakłonić ludzi, by postępowali zgodnie z jego życzeniem. Dobrze wiedział, że jego żona, Randy, ma wyjątkowo dobre serce; prawdę mówiąc, głównie dlatego się z nią ożenił. Randy wszystko wszystkim wybaczała i wystarczyło, by Leslie powiedział jej „kocham cię” mniej więcej raz w miesiącu, a już mogła zapomnieć nawet o najgorszym.

A na dodatek za te dwa słowa zyskiwał poczucie bezpieczeństwa. Miał dzięki temu dom, do którego praktycznie nie dokładał się finansowo i w zasadzie nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności w stosunku do żony czy syna. Przede wszystkim jednak Randy stanowiła doskonałą wymówkę: to przez nią nie mógł się ożenić z żadną ze swych licznych kochanek. Bo oczywiście zawsze zapominał jej powiedzieć, że owi „nieszczęśliwi przyjaciele” to niemal bez wyjątku długonogie, młode dziewczyny.

W końcu jednak, dwa lata temu, Eli wraz z Chelsea położyli kres tej farsie Lesliego z „nieszczęśliwymi przyjaciółmi”.

Gdy Eli był małym chłopcem, praktycznie nie wiedział, co znaczy mieć ojca, poza tym, że słyszał to słowo w ustach innych dzieci, gdy chwaliły się, mówiąc: „Wczoraj razem z tatą naprawiałem samochód”. Eli rzadko widywał ojca i nigdy nic razem z nim nie robił.

To właśnie Chelsea zobaczyła jego ojca ze szczupłym blond kociakiem pewnego popołudnia w centrum handlowym. Wiedząc, że dorośli z reguły nie zwracają najmniejszej uwagi na dzieci, usiadła naprzeciwko nich na ławce, żując gumę, której nienawidziła, i starając się wyglądać na młodszą niż była w rzeczywistości. A przy okazji pilnie wsłuchiwała się w każde słowo wypowiedane przez ojca Eliego.

- Przecież wiesz, że gdyby to ode mnie zależało, natychmiast bym się z tobą ożenił, Heather. Kocham cię nad życie, najdroższa, ale jestem żonaty i mam dziecko. Gdyby nie to, już jutro zaciągnąłbym cię do ołtarza. Każdy mężczyzna chciałby mieć taką kobietę za żonę. Nie masz jednak pojęcia, jaka jest Randy. Beze mnie natychmiast by zginęła. Sama nie poradzi sobie nawet z odkręceniem kranu. A do tego mój syn. Eli też bardzo mnie potrzebuje. Wczoraj płacze tak długo, póki nie ucałuję go na dobranoc - a więc rozumiesz, czemu możemy się spotykać jedynie w ciągu dnia.

- A potem zaczął całować ją po szyi - zakończyła swój raport Chelsea.

Kiedy Eli usłyszał tę opowieść, w pierwszej chwili był całkiem oszołomiony. Nie pojmował, jak ktoś może się posuwać do tak nie-

prawdopodobnych kłamstw. O ile pamięć go nie myliła, ojciec nigdy w życiu nie pocałował go na dobranoc. Prawdę mówiąc miał wątpliwości, czy ojciec w ogóle wie, gdzie jest sypialnia Eliego w ich małym domu, pilnie wymagającym remontu.

Kiedy w końcu doszedł do siebie, spojrzał na Chelsea stanowczym wzrokiem.

- Co zrobimy w tej sprawie?

Dziewczynka uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Robin i Marian - wyszeptała, a Eli potwierdził skinieniem głowy.

Już kilka lat wcześniej nazwali się Robin Hoodami. Robin Hood walczył ze złem, zajmował się dobrymi uczynkami i pomagał niefortunsiom (a przynajmniej tak głosiła legenda).

To Randy nazwała ich po raz pierwszy Robinem i Marian z powodu jakiegoś cikliwego filmu, który namyślnie oglądała na wideo. Ze śmiechem powiedziała, że Eli i Chelsea to „Robin i Marian Les Jeunes” - bo *les jeunes* ponoć po francusku znaczyło „młodzi”.

Przyjęli to przezwisko, chociaż trzymali je przed wszystkimi w sekrecie.

I tylko oni wiedzieli, do czego byli zdolni się posunąć. Przy każdej nadarzającej się okazji podkradali papier firmowy z rozmaitych korporacji, kancelarii prawniczych, urzędów, gabinetów lekarskich i tym podobnych miejsc, a potem - używając wyrafinowanej techniki komputerowej - odtwarzali czcionki nagłówka i wysyłali różnym ludziom listy, niby w imieniu tych instytucji. Na przykład pisma z kancelarii prawniczych wysyłali do ojców uchylających się od płacenia alimentów. Wysyłali listy dziękczynne do niedocenianych pracowników w imieniu szefów wielkich przedsiębiorstw. Kiedyś odzyskali dla biednej staruszki czterysta dolarów od oszusta kradnącego jej impulsy telefoniczne.

Tylko raz o mały włos nie wpakowali się w kłopoty. W ich klasie jeden z chłopców miał bardzo popsute zęby, ale jego ojciec był zbyt skąpy, żeby wysłać syna do dentysty. Eli i Chelsea odkryli, że ten człowiek miał żyłkę hazardzisty, napisali więc do niego list, oferując udział w „tajnej” (bo nielegalnej), ogólnokrajowej loterii dentystrycznej. Za każde pięćdziesiąt dolarów wydanych na opiekę dentystryczną dla dzieci, miał otrzymać specjalny kupon loteryjny. I ów skąpiec posłał trójkę dzieci na leczenie zębów za sumę kilkuset dolarów, a Eli i Chelsea za każdym razem sumiennie wysyłali mu określoną liczbę pięknych, czerwono-złotych losów. Problem pojawił się wtedy, gdy musieli go zawiadomić, że na jego numery nie padła



żadna wygrana. Facet poleciał do Bogu ducha winnego dentysty, wymachując kuponami i żądając natychmiastowego zwrotu pieniędzy. Nieszczęsny lekarz najpierw musiał miesiącami znosić jego porozumiewawcze miny, w czasie gdy zajmował się zębami dzieci, a teraz na dodatek dowiedział się, że zostanie podany do sądu z powodu jakiejś loterii, o której w życiu nie słyszał!

Żeby uspokoić rozjuszonego hazardzistę, Eli i Chelsea musieli się ujawnić przed kolegą z klasy, któremu pomogli, i nakłonić go do wykradnięcia listu i feralnych losów. Potem Chelsea wysłała skąpcowi jeden ze złotych zegarków swego ojca (miał ich kilkanaście), żeby w końcu przestał się pieklić.

Robiąc bilans swojej działalności, oboje zgodnie uznali że dobre uczynki, których dokonali - łącznie z wyleczeniem zębów trójki dzieciaków - warte były tych kilku chwil strachu, gdy ich działalność niemal została zdemaskowana. Tak więc postanowili, że Robin i Marion Les Jeunes będą działali dalej.

- Jak więc zamierzasz rozegrać tę historię ze swoim ojcem? - spytała Chelsea, czując że Eli nie ma w tej sprawie żadnej koncepcji.

- Chciałbym się go pozbyć. Mama ciągle przez niego płacze. Ale...

- Ale co?

- Jednocześnie wciąż powtarza, że go kocha.

Eli i Chelsea spojrzeli po sobie nic nierozumiejącym wzrokiem. Jak można kochać kogoś pokroju Lesiego Harcourta? Przecież ten człowiek nie miał w sobie nic, co dałoby się nawet lubić.

- Chciałbym, żeby moja mama dostała wszystko, czego pragnie - powiedział Eli.

- Mela Gibsona? - zapytała Chelsea całkiem poważnym tonem.

Randy kiedyś sama się przyznała, że najbardziej na świecie pragnęłaby kogoś takiego, jak Mel Gibson - tylko dlatego że jest człowiekiem bardzo rodzinnym.

- Nie. Ale chciałbym, żeby mój tata stał się dobrym mężem i ojcem. Bo to by ją uszczęśliwiło.

Przez chwilę spoglądali na siebie z desperacją. Eli marzył, by stworzyć myślący komputer - oboje jednak wiedzieli, że łatwiej można by dokonać podobnego wynalazku, niż nakłonić Lesiego Harcourta do siedzenia w domu i zajmowania się majsterkowaniem w garażu.

- Ten problem musi rozwiązać „Ekspert od miłości” - zdecydowała Chelsea.

„Ekspertem od miłości” nazywali mamę Eliego, namiętnie rozczytującą się w romansach. Po każdej przeczytanej książce przedstawiała synowi krótkie streszczenie akcji, a on wtyczał te dane do komputera, po czym tworzył modele statystyczne w ujęciu graficznym. I tak osiemnaście procent romantycznych historii rozgrywało się w średniowieczu - Eli zresztą dzielił je dalej na okresy obejmujące pięćdziesięciolecia. Dokładnie umiał też powiedzieć, w ilu z nich pojawiają się pożary i katastrofy morskie, i w jak wielu główny bohater został w przeszłości skrzywdzony przez kobietę (zawsze odznaczającą się wyjątkową perfidią), co kazało mu potem żywić uprzedzenia wobec wszystkich przedstawicielek płci pięknej. Niezwykła powtarzalność akcji romansów zdumiewała Eliego, matka jednak uważała, że cud miłości jest zawsze zachwycający, bez względu na to, ile razy się o nim czyta.

Tak więc poprosili o opinię w interesującej ich sprawie właśnie Randy, mówiąc, że mąż starszej siostry Chelsea nawiązał romans z dziewczyną, która za wszelką cenę chciałaby go poślubić. On co prawda nie ma na to najmniejszej ochoty, ale nie zamierza też rozstać się z kochanką.

- Och! - wykrzyknęła Randy. - Właśnie skończyłam podobną książkę.

Eli posłał Chelsea spojrzenie mówiące: „nie miałem wątpliwości, że coś nam poradzi”.

- Kochanka próbowała nakłonić mężczyznę do rozwodu, oszukując go, że jest z nim w ciąży. Ale intryga wyszła na jaw i delikwent postanowił wrócić do żony. Tymczasem w zdradzonej żonie zakochał się wspaniały nieznajomy, który na dodatek uratował jej życie. Tak więc zdrajca został na lodzie: bez żadnej z tych kobiet.

- Przez chwilę Randy wpatrywała się w przestrzeń marzycielskim wzrokiem. - Tak w każdym razie potoczyły się wydarzenia w powieści. Obawiam się jednak, że w życiu jest inaczej niż w romansach. W rzeczywistości podobne historie zazwyczaj kończą się bólem i cierpieniem. Przykro mi, Chelsea, ale tak naprawdę nie potrafię ci pomóc. Sama nie umiem postępować z mężczyznami.

Eli i Chelsea ze spokojem przyjęli te słowa, po kilku dniach jednak wysłali do ojca Eliego list - na papierze firmowym jednego z najbardziej wziętych lekarzy w Denver - stwierdzający, że panna Heather Allbright nosi jego dziecko, a klinika otrzymała polecenie, by wszystkie rachunki kierować na adres niejakiego Leslie Harcourta. To Chelsea wpadła na pomysł wysyłania rachunków Lesliemu,



ponieważ święcie wierzyła, że wszelkie koszty - czegokolwiek by dotyczyły - zawsze powinni ponosić ojcowie.

Tymczasem sprawy nie potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami Robina i Marian. Leslie zarzucił kochance kłamstwo, a ona wybuchnęła płaczem i bez mrugnienia okiem potwierdziła, że jest w ciąży. Z tego, co udało się wytropić Eliemu - a mama robiła wszystko, by dowiedział się jak najmniej - Heather zagroziła, że puści Lesiego z torbami, jeśli zaraz się nie rozwiedzie i jej nie poślubi.

Randy - jak zwykle pełna wyrozumiałości - uznała, że przede wszystkim należy myśleć o nienarodzonej dziecku. Ona i Eli doskonale sobie poradzą, więc - oczywiście - zgodzi się na jak najszybszy rozwód. Leslie zdołał też szybko wytłumaczyć żonie, że sprawy nabiorą tempa, jeżeli oni oboje podzielą się kosztami sądowymi po połowie i jeśli będzie płacił dawnej rodzinie jedynie najniższą stawkę alimentów na dziecko. Wykazując się wielkim gestem, wyraził zgodę, by Randy mogła zatrzymać dom, pod warunkiem że sam weźmie z mieszkania wszystko, co ma dla niego jakąkolwiek wartość, natomiast ona prawnie przejmie na siebie spłatę hipoteki.

Kiedy sprawa się sfinalizowała, Eli i Chelsea wciąż byli oszołomieni tym, do czego doprowadzili, i zbyt przerażeni, by wyznać komukolwiek prawdę. Z drugiej strony, jeżeli Heather rzeczywiście miała urodzić dziecko, to w gruncie rzeczy wcale nie popełnili oszustwa.

Tydzień po ślubie z Lesliem blondwłosa Heather podobno poroniła i w ten sposób zniknął problem dziecka.

Eli obawiał się, że matka załamie się na tę wieść, ona jednak tylko wybuchnęła śmiechem.

- Ależ tak naprawdę sprytna panna Heather właśnie dorobiła się dzidziusia, choć być może jeszcze o tym nie wie.

Nie pojął sensu tej uwagi, był jednak tak zadowolony, że matka nie załamała się na skutek rozwodu, iż już nigdy potem nie wracał do tematu owego „poronienia”.

Teraz wpatrywał się w tylne światła samochodu ojca i nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten facet przyszedł tu, by znów się wyłgać od płacenia alimentów. Leslie Harcourt zarabiał jakieś siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie jako sprzedawca samochodów - był zdolny wcisnąć wszystko każdemu - podczas gdy mama z ledwością wyciągała dwadzieścia tysięcy jako pielęgniarka w państwowym szpitalu.

- Specjalistka od wymiany basenów, oto kim jestem – mówiła o sobie Randy. A niekiedy dodawała: - Trzymam ludzi za rękę i to im

pomaga. Niestety, za coś takiego nie płacą zbyt wiele. Eli, kochanie, tak naprawdę to chciałabym zostać prywatną pielęgniarką kogoś zamożnego: jakiegoś uroczego staruszka, który przez cały dzień jedynie oglądałby filmy na wideo, zającąc się przy tym popcornem. W tym momencie syn przypomniał jej, że wszystkie heroiny czytanych przez nią romansów już jako dwudziestolatki stają się szefowymi potężnych korporacji, albo - choć za dnia pracują jako kelnerki - wieczorami pilnie studiują prawo. Słyszac to, Randy parsknęła śmiechem.

- Jeżeli każda kobieta byłaby właśnie taka, to kto w ogóle kupowałby romanse?

Eli uznał, że to bardzo logiczna uwaga. Mama często przejawiała niezwykłą zdolność trafiania w sedno sprawy.

- Czego chciał tym razem? - zapytał chłopiec gniewnie, gdy tylko otworzył drzwi.

Randy skrzywiła się lekko, niezadowolona, że syn przyłapał ojca na kompromitującej wizycie. Uniknięcie przesywającego spojrzenia Eliego równało się pomyślnej pieszej ucieczce przed wygłodniałą watahą wilków.

- Nic takiego - odrzekła wymijająco.

Gdy tylko Eli usłyszał te słowa, przeszył go lodowaty dreszcz.

- Ile mu dałaś tym razem?!

Randy ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami.

- Dobrze wiesz, że się dowiem, gdy tylko sprawdzę w komputerze stan konta bankowego. No więc? Ile mu dałaś?

- Teraz już zdecydowanie przesadziłaś, młody człowieku. Pieńiądze, które zarabiam...

Eli błyskawicznie dokonał w głowie kilku obliczeń. Zawsze co do centa znał stan bieżącego konta matki - nie posiadali żadnych lokat - a także kwotę drobnych, jaką miała w portmonetce.

- Dwieście dolarów! - wykrzyknął. - Dałaś mu czek na dwieście dolarów!

Tyle dokładnie jej zostawało po opłaceniu hipoteki i kupieniu jedzenia.

Kiedy matka z zaciśniętymi ustami uparcie milczała, wiedział, że dokładnie określił sumę. Zaraz powie o tym Chelsea, a ona pogratuluje mu przenikliwości.

Eli zaklął szpetnie pod nosem.

- Eli! - upomniała go ostro Randy. - Absolutnie nie życzę sobie, żebyś obrzucał własnego ojca podobnymi wyzwiskami. - Jej rysy złagodniały. - Kochanie, jesteś zbyt młody, by być tak cynicznym.

Musisz okazać ludziom więcej zaufania. Tak bardzo sobie wyrzucam, że zostałeś pozbawiony męskiego autorytetu w życiu. Dobrze wiem, że ukrywasz swoje prawdziwe uczucia, już dawno temu zorientowałam się, jak bardzo brakuje ci taty.

Eli, z miną starego, doświadczonego człowieka, odparł na to znużonym głosem:

- Znowu naoglądałaś się różnych talk-show. W żadnym razie za nim nie tęsknię. Nawet kiedy byliście małżeństwem, bardzo rzadko go widywałem. Mój ojciec jest po prostu samolubnym, egoistycznym sukinsynem.

Usta Randy zacisnęły się w wąską kreskę.

- Jest, jaki jest, to nie ma znaczenia. Liczy się jedynie, że jest twoim ojcem.

Eli miał zacięty wyraz twarzy.

- Zdaje się, że całkiem nierealne byłoby przypuszczenie, że nie dochowałaś mu wierności, a mój prawdziwy ojciec jest księciem niewielkiego, lecz bogatego europejskiego państewka?

Jak zwykle w podobnych wypadkach Randy roześmiała się głośno. Nie umiała gniewać się na syna, tak samo jak nie potrafiła oprzeć się jękom i błaganiom byłego męża. Dobrze wiedziała, że Eli znienawidziłby ją za podobne słowa, ale w gruncie rzeczy pod wieloma względami niezwykle przypominał ojca. Obaj zawsze stawiali na swoim i nic ich przed tym nie mogło powstrzymać.

Nie, Eliemu zdecydowanie nie spodobałoby się podobne spostrzeżenie.

Teraz był zirytowany na matkę, że po raz kolejny pozwoliła Lesliemu Harcourtowi wyłgać się od alimentów, i że nie podzielała jego stanowiska w tej sprawie. Nie odezwał się już jednak ani słowem, tylko od razu pomaszerował do swojego pokoju. Ojciec od pół roku zalegał z alimentami. I zamiast uregulować należności, przyszedł do byłej żony, wylał kilka łez, opowiadając o swoich problemach finansowych, bo doskonale wiedział, że w ten sposób wyciągnie od niej ostatnie grosze. Eli świetnie zdawał sobie sprawę, że ojciec przy każdej okazji lubił sprawdzać swoje aktorskie możliwości. Oszukiwanie i wykorzystywanie Randy było jednym z ćwiczeń doskonalących jego zdolności jako sprzedawcy.

Prawda - o której Randy nie miała najmniejszego pojęcia - była taka, że Leslie właśnie kupił mercedesa za sześćdziesiąt tysięcy dolarów i teraz spłaty rat za samochód rzeczywiście potężnie nadwierały jego budżet. (Eli i Chelsea potrafili się włamać do poufnych danych kredytowych banków i stąd uzyskali tę informację).

Przez pół godziny chłopiec aż gotował się cały na myśl o perfidii Lesliego. A kiedy spostrzegł, że matka wyszła do ogródka i zajęła się swoimi ulubionymi różami, wrócił do salonu i wykręcił numer telefonu człowieka, który mienił się jego ojcem.

Nie zwracał sobie głowy żadnymi grzecznościami.

- Jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zapłacisz alimentów za trzy miesiące, a reszty w ciągu następnych trzydziestu dni, wsypię cukier do baku twojego nowego samochodu - oznajmił, po czym się rozłączył.

Dwadzieścia dwie godziny później Leslie pojawił się na progu ich domu, ściskając pieniądze w dłoni. Eli, stojąc za plecami matki, ze stóckim spokojem wysłuchał długiej, do obrzydliwości ckliwej przemowy na temat zawiedzionej wiary w ludzką dobroć oraz braku lojalności ze strony niektórych, spaczonych charakterologicznie jednostek.

Po pewnym czasie jednak chłopiec miał już dość pompatycznych słów, posłał więc ojcu gniewne spojrzenie i Leslie pośpiesznie się wycofał, zapewniając przy tym była żonę, że w ciągu najbliższych trzydziestu dni zapłaci alimenty za następne trzy zaległe miesiące. Eli zaś z trudem się powstrzymał, by nie zauważyć głośno, że za trzydzieści dni zaległości urosną już do czterech miesięcy.

Kiedy Leslie wreszcie odjechał, Randy zwróciła się do syna z uśmiechem.

- Widzisz, kochanie, ludziom trzeba ufać. Powiedziałam ci, że ojciec pójdzie po rozum do głowy i właśnie tak się stało. No dobrze. Dość już o tym. Gdzie chciałbyś zjeść dziś kolację?

Dziesięć minut później Eli rozmawiał przez telefon z Chelsea.

- Naprawdę nie mogę jechać do Princeton - oznajmił cichym głosem. - Mama zdecydowanie wymaga opieki.

Chelsea miała gotową odpowiedź.

- Przychodź natychmiast! Za kilka minut spotkanie w lesie Sherwood.

Tak nazywali wielki park otaczający rezydencję jej rodziców.

### 3

- Co więc zrobimy? - spytała Chelsea.

Siedzieli obok siebie na huśtawce w ogrodzie koło domu rodziców Chelsea. Była to wspaniała dwudziestoakrowa posiadłość niemal w samym sercu Denver. Ojciec dziewczynki kupił swego czasu

cztery domy, a potem rozebrał trzy z nich, by móc cieszyć się przestrzenią. Co prawda sam rzadko się nią rozkoszował, wielką frajdę jednak sprawiało mu opowiadanie ludziom, że posiada dwadzieścia akrów w centrum stolicy Kolorado.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Eli. - Wiem jedynie, że nie mogę jej zostawić. Gdybym jej nie pilnował, natychmiast oddałaby moje mu ojcu wszystko, co posiadamy.

Chelsea, wysłuchawszy relacji o najnowszych wydarzeniach, już też nie miała w tej sprawie żadnych wątpliwości. Tym bardziej że to nie pierwszy raz Leslie Harcourt wykorzystywał byłą żonę.

- Chciałabym... - Urwała, poderwała się z huśtawki i spojrzała na Eliego, który siedział z nisko opuszczoną głową, dumając nad tym, co straci, gdy odrzuci ofertę z Princeton. Chelsea doskonale wiedziała, że Eli niczego bardziej nie pragnie, jak tylko całkowicie poświęcić się pracy nad komputerami. - Chciałabym, żeby udało się nam znaleźć dla niej męża.

Eli parsknął kpiąco.

- Już próbowaliśmy, zapomniałaś? Rzecz w tym, że ona lubi tylko takich facetów, jak mój ojciec - którzy, jak twierdzi - jej potrzebują. Choć tak naprawdę potrzebują jedynie jej pieniędzy i wybaczenia.

- Wiem, ale czy nie byłoby wspaniale, gdyby udało nam się w życiu zrealizować scenariusz jednej z tych książek, które tak bardzo kocha? Spotkałaby tajemniczego, przystojnego miliardera i...

- Miliardera?!

- Oczywiście - odparła dziewczynka zdecydowanym głosem. - Mój ojciec twierdzi, że przy dzisiejszej inflacji milioner - a nawet multimilioner - nie jest wiele wart.

Niekiedy Eli zapominał, jak wielka przepaść finansowa dzieli go od Chelsea. Dla niego i Randy dwieście dolarów to była poważna kwota, tymczasem jego przyjaciółka płaciła trzysta dolarów fryzjerce za samo podcięcie włosów.

- Nie znasz przypadkiem jakiegoś miliardera? - zapytała Chelsea z szerokim uśmiechem.

Zażartowała, a tymczasem Eli zrobił poważną minę.

- Prawdę mówiąc, znam. To... to mój najlepszy przyjaciel. Zaraz po tobie, oczywiście.

Chelsea otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jedną z rzeczy, które najbardziej uwielbiała w Elim, było to, że zawsze potrafił ją czymś zaskoczyć. Ilekroć wydawało jej się, że poznała go już do końca, wyskakiwał z czymś zupełnie niesamowitym.

- Gdzie poznałeś tego swojego miliardera i w jaki sposób się z nim zaprzyjaźniłeś?

Eli spojrział na nią z zaciętym wyrazem twarzy. Chelsea wiedziała, że jeśli przybrał taką minę, nie wycisnie już z niego ani słowa.

Dwa dni później jednak to on zwołał spotkanie w lesie Sherwood. Przyszedł z takim błyskiem w oku, jakiego Chelsea nigdy jeszcze u niego nie widziała. Przez chwilę obawiała się nawet, że miał wysoką gorączkę.

- Co się stało? - wyszeptała, przekonana, że musiało zajść coś straszego.

Eli wyciągnął ku niej drżącą dłoń, w której trzymał jakiś wycinek prasowy. Nie mając pojęcia, czego powinna się spodziewać, Chelsea szybko przebiegła wzrokiem treść notatki, ale po jej przeczytaniu nadal nic nie rozumiała. Była to krótka wzmianka o jakimś Franklinie Taggercie, jednym z głównych dyrektorów korporacji Montgomery-Taggart. Podczas gry w squasha uległ nieszczęśliwemu wypadkowi - złamał rękę w dwóch miejscach. Do czasu całkowitego dościa do formy postanowił wyjechać do swojego domku w Górach Skalistych, i z tego powodu kilka ważnych spotkań i finalizacji kontraktów musiało ulec przesunięciu.

Chelsea oderwała oczy od wycinka i spojrzała na Eliego ze zdziwieniem.

- No i co z tego?

- To właśnie mój przyjaciel - wyjaśnił głosem tak pełnym nabożnego podziwu, że poczuła nagle ostre ukłucie zazdrości.

- Ten twój miliarder? - spytała kpiąco.

Eli, jakby nie zauważając jej reakcji, przechadzał się nerwowo tam i z powrotem obok huśtawki.

- To przecież twój pomysł - odezwał się po chwili. - Niekiedy, Chelsea, zapominam, że jako kobieta niewiele różnisz się od mojej matki.

Nie była pewna, czy cieszy ją taka uwaga.

- Powiedziałaś, że powinienem znaleźć bogatego mężczyznę, który zajęłby się moją mamą. Jak jednak mógłbym zaufać pierwszemu lepszemu facetowi? To musi być ktoś nie tylko bogaty, ale dobry i wyjątkowo inteligentny.

Chelsea uniosła brwi tak wysoko, że niemal zetknęły się z jej włosami. Takiego Eliego jeszcze nie widziała.

- Główny problem polega na tym, jak zapoznać mamę z kimś bogatym? Jest pielęgniarką, a w dwudziestu jeden procentach romansów w pewnym momencie bohater bywa ranny, heroina zaś

otacza go opieką, co pociąga za sobą dozgonną miłość obojga. Mama jednak pracuje w państwowym szpitalu, a bogaci ludzie wynajmują sobie prywatne pielęgniarki - dlatego jeszcze nikogo podobnego nie spotkała.

- Ach, rozumiem. Chcesz więc, żeby ten mężczyzna zatrudnił twoją mamę. Ale Eli, jak go do tego nakłonicz? - spytała łagodnym głosem. - I skąd wiesz, że się w sobie zakochają? Z tego, co słyszałam, miłość ma wiele wspólnego ze specjalnymi fizycznymi wibracjami.

Gdzieś to wyczytała. A poza tym jej głupie, starsze siostry o niczym innym nie gadały.

Tym razem to Eli w zdziwieniu uniośł brwi.

- Czy ktoś mógłby się nie zakochać w mamie?! Do tej pory moim głównym problemem było trzymanie mężczyzn z daleka od niej, a nie odwrotnie.

Chelsea nawet nie próbowała skomentować owej uwagi. To niemożliwe, by Eli kiedykolwiek spojrzął na swoją matkę jak na normalną kobietę. Dla niego była niezmierną istotą.

- A jak...? - zapytała, po czym uśmiechnęła się szeroko. - Oczywiście. Robin i Marian Les Jeunes.

- Tak. Sądzę, że pan Taggart jest tam sam. Dowiemy się, gdzie znajduje się ta chata, a potem wyślemy mamie list z propozycją angażu i wskazówkami, jak tam dojechać. Gdy się już poznają, niewątpliwie zakochają się w sobie i Frank zajmie się mamą. Jest bardzo odpowiednim dla niej człowiekiem.

- Odpowiednim... człowiekiem? - powtórzyła Chelsea. Eli wyraźnie nie miał ochoty powiedzieć nic więcej, ale ona miała swoje sposoby. - Jeżeli natychmiast mi nie opowiesz, jak poznałeś tego miliardera, przestanę ci pomagać. Nawet nie kiwnę palcem w tej sprawie.

Eli nie miał wątpliwości, że Chelsea blefuje. Była zbyt zaintrygowana całą tą sytuacją, by się wycofać. Ale w gruncie rzeczy chciał jej opowiedzieć o swoim spotkaniu z Frankiem Taggertem.

- Pamiętasz, jak dwa lata temu moja klasa miała zajęcia w korporacji Montgomery-Taggart?

Dziewczynka nie pamiętała, ale i tak skinęła głową.

- Najpierw nie zamierzałem tam iść, w ostatniej chwili jednak zmieniłem zdanie. Pomyślałem, że może zobaczę tam coś interesującego.

Tak naprawdę Eli poszedł na te zajęcia tylko po to, by ukraść papier firmowy, bo nie miał jeszcze nic z korporacji Montgomery-Taggart, a być może kiedyś papeteria mogła się okazać przydatna.

W jednym z gabinetów sekretarka dała dzieciom spinacze do zabawy, a Eli po prostu umierał z nudów. Zaczął się rozglądać wokół i po drugiej stronie pokoju zobaczył mężczyznę siedzącego na brzegu biurka i rozmawiającego przez telefon. Facet miał na sobie dzinsowe spodnie i koszulę, a na nogach kowbojki. Był ubrany jak dozorca, ale Eli od razu wyczuł bijącą od niego siłę i władzę.

Cicho wędrując po gabinecie, stanął za plecami tego człowieka i zaczął się przysłuchiwać rozmowie. Dopiero po chwili się zorientował, że tamten przeprowadzał przez telefon wielomilionową transakcję. Jak mówił „pięć i dwadzieścia”, miał na myśli pięć milionów i dwadzieścia milionów. Dolarów!

Kiedy mężczyzna odłożył słuchawkę, Eli próbował się wycofać.

- Usłyszałeś wszystko, co chciałeś, chłopcze?

Eli zamarł w bezruchu i wstrzymał oddech. Nie mógł uwierzyć, że facet zorientował się w sytuacji. Większość dorosłych nie zwraca najmniejszej uwagi na dzieciaki. Jakim cudem ten człowiek go dostrzegł? Skąd wiedział, że Eli stoi za jego plecami?

- Nie masz odwagi spojrzeć mi w twarz?

Eli wyprostował się i odwrócił w stronę nieznajomego.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Ponieważ dorośli zazwyczaj sądzili, że dzieci słyszą tylko to, co dorośli chcą, by usłyszały, Eli zawsze chętnie kłamał. Ale temu mężczyźnie powiedział prawdę. Podał mu liczby, nazwiska, miejsca. Zrelacjonował wszystko najdokładniej, jak zdołał zapamiętać.

Tamten wysłuchał go z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Widziałem, jak myszkujesz po biurze. Czego tu szukałeś?

Eli wziął głęboki oddech. Ani on, ani Chelsea nigdy nie powiedzieli żadnemu dorosłemu o swojej kolekcji papierów firmowych, a już na pewno nie przysłoby im do głowy wyznać, do jakich celów je wykorzystywali. Temu człowiekowi jednak zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Czy wiesz, że to, co robicie jest nielegalne? - zapytał mężczyzna, obrzucając Eliego uważnym spojrzeniem.

- Tak, proszę pana. Ale my jedynie piszemy do ludzi, którzy wyrządzili komuś krzywdę bądź lekceważą swoje obowiązki. Większość listów wysyłamy do ojców uchylających się od płacenia alimentów na dzieci.

Nieznajomy uniósł brwi, spojrzał uważnie na chłopca, po czym zwrócił się ku sekretarce.

- Proszę zapisać nazwisko oraz adres tego młodzieńca i jak najszybciej wysłać mu arkusze firmowe korporacji Montgomery-Tag-



gert. Proszę ściągnąć wzory także z Maine, Kolorado i stanu Waszyngton. Aha, i proszę nie zapomnieć o naszych zagranicznych filiach - w Londynie i Kairze.

- Tak jest, proszę pana - odrzekła sekretarka, spoglądając ze zdumieniem na Eliego.

Frank Taggert wzbudzał strach we wszystkich pracownikach, a tymczasem ten dzieciak od razu przypadł mu do serca. Wyciągnął dłoń w stronę chłopca.

- Nazywam się Franklin Taggert. Gdy tylko skończysz studia, zgłoś się do mnie, a natychmiast cię zatrudnię.

Potrząsając dłonią mężczyzny, Eli spytał lekko drżącym głosem:

- A co powinienem studiować?

- Z twoimi zdolnościami możesz studiować wszystko - odparł Frank, po czym zsunął się z biurka i zniknął za drzwiami.

Przez chwilę Eli spoglądał za nim w milczeniu, przekonany, że dzięki wymianie tych kilku zdań, zyskał nową, świetlaną przyszłość. Nagle pojął, dokąd zmierza i jak może osiągnąć swój cel. Poza tym, po raz pierwszy w życiu uznał kogoś za autorytet i wzór do naśladowania.

## 4

- I co dalej? - spytała zafrapowana Chelsea.

- Dostałem te papiery firmowe, przecież je widziałaś. A potem napisałem list z podziękowaniami, otrzymałem odpowiedź i tak się zaprzyjaźniliśmy.

Chelsea miała ochotę krzyczeć ze złości - jak mógł przez dwa lata utrzymywać to przed nią w sekrecie! Przez całe dwa lata! Nauczyła się już jednak, że nie ma sensu wymyślać przyjacielowi. Czasami Eli miał swoje tajemnice i nic nie mogło tego zmienić.

- A więc chcesz, żeby twoja mama za niego wyszła. Czemu ten pomysł dopiero teraz przyszedł ci do głowy? - zapytała zgryźliwym tonem, by odegrać się na nim za to, że tak długo ukrywał przed nią coś tak interesującego, ale w gruncie rzeczy знаła odpowiedź na swoje pytanie. Do tej pory Eli chciał mieć ukochaną mamę tylko dla siebie. Oczywiście rozbił się gwałtownie. Jeżeli mógłby oddać swoją matkę temu mężczyźnie, to znaczy...

- Ty rzeczywiście go lubisz, prawda?

- Jest dla mnie jak ojciec - wyznał Eli cicho.

-

- Czy opowiadałeś mi o mnie?

- Oczywiście - odrzekł takim tonem, że natychmiast opuściła ją złość.

- No dobrze. Jak w takim razie doprowadzimy do ich spotkania? Gdzie właściwie jest ta jego chata?

- Nie mam pojęcia - oświadczył Eli, - Ale zapewne zdołamy to ustalić.

Trzy tygodnie później Chelsea była skłonna się poddać.

- Eli - oznajmiła zirytowana. - Musimy zrezygnować z naszego pomysłu. Nie uda nam się znaleźć tej chaty.

Eli zacisnął usta, po czym w desperacji zakrył twarz rękami. Przez trzy tygodnie rozsyłali po kraju fakсы i listy, dając w nich do zrozumienia, że bardzo pilnie muszą się skontaktować z Frankiem Taggertem. Ale jego ludzie albo rzeczywiście nie wiedzieli, gdzie się znajduje, albo nie chcieli udzielać żadnych informacji.

- Nie mam już żadnego pomysłu - ciągnęła Chelsea. - Nadchodzi zima i temperatura w górach gwałtownie spada. Taggert zapewne wkrótce wyjedzie ze swojej chaty i wtedy nie zdołamy doprowadzić do jego spotkania z twoją mamą.

W pierwszym tygodniu poszukiwań zapytała Eliego, czemu po prostu nie przedstawi sobie tych dwojga, on jednak spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

- Ze względu na mnie byliby dla siebie uprzejmi, ale przecież nic poza tym by ich nie łączyło. Muszą się spotkać na neutralnym gruncie w ściśle określonej dla obojga sytuacji. Czy doprawdy niczego się nie nauczyłaś z ulubionych lektur mojej matki?

Teraz, po tylu tygodniach działań, nadal nie byli bliżsi wyznaczonego sobie celu.

- Jeszcze tylko jednego nie spróbowaliśmy do tej pory - zdecydowała w końcu Chelsea.

Eli wciąż siedział z twarzą w dłoniach.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy - oznajmił. - Żaden inny pomysł nie przychodzi mi do głowy.

- Nie spróbowaliśmy odkryć kart - odparła na to Chelsea.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Jakich kart?

- Moi rodzice niemal wyskakiwali ze skóry, żeby jedna z moich sióstr wreszcie wyszła za męża. Mama jęczała, że Monica wkrótce nie znajdzie już męża, bo będzie za stara - a w owym czasie dobiegała trzydziestki. Pan Taggert skończył czterdzieści lat, niewykluczone więc, że jego rodzina też już bardzo by chciała, żeby wreszcie się ożenił.

Spoglądał na nią miną wskazującą, że nic nie rozumie.

- Umówmy się na spotkanie z jednym z jego braci i powiedzmy mu, że mamy odpowiednią żonę dla Franka Taggerta. Kto wie, może zechce nam pomóc.

Zdumiony Eli wciąż siedział w milczeniu i Chelsea poczuła narastającą irytację.

- Przecież warto spróbować, no nie? Daj spokój. Przestań się dąsać i podaj mi imię któregoś z jego braci mieszkających w Denver.

- Michael - powiedział w końcu. - Michael Taggert.

- OK. A więc umówmy się z nim na spotkanie i przedstawmy mu całą sytuację.

Wahał się przez chwilę, po czym położył ręce na klawiaturze.

- No, dobrze. Spróbujmy.

## 5

Michael Taggert uniósł głowę znad papierów, gdy w drzwiach gabinetu stanęła jego sekretarka, Kathy, z dziwnym uśmiechem na ustach.

- Czy pamięta pan list od niejakiego Elijaha J. Harcourta, w którym prosił o kilka chwil rozmowy?

Mike ściągnął brwi i szybko skinął głową. Za pół godziny miał się spotkać z żoną na lunchu, a tymczasem mina Kathy sugerowała, że mogą go czekać niespodziewane komplikacje.

- Tak?

- Przyszedł wraz ze swoją sekretarką - odparła Kathy, z trudem tłumiąc śmiech.

Mike zupełnie nie rozumiał, czemu jakiś mężczyzna i jego sekretarka wzbudzają w Kathy taką wesołość. Chwilę później wszystko zrozumiał - gdy do jego gabinetu wkroczyła para dzieciaków, mniej więcej dwunastoletnich. Chłopiec był wysoki, bardzo szczupły, w okularach, zza których spoglądał jastrzębim wzrokiem. Dziewczynka zachowywała się z niezwykłą swobodą - spowodowaną nie tylko niezwykłą urodą, ale - jak przypuszczał Michael - również dużymi pieniędzmi.

Boże, nie mam czasu na głupstwa, pomyślał, nie pojmując, po co ci dwoje do niego przyszli.

Bez słowa wskazał im fotele stojące przed biurkiem.

- Jest pan człowiekiem bardzo zajęтым, my także, a więc od razu przejdę do rzeczy - oświadczył chłopiec.

Mike z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Dzieciak zachowywał się bardzo dorośle, a na dodatek kogoś Mike owi przypominał - nie mógł jednak się zorientować, kogo.

- Chciałbym, żeby moja mama wyszła za pańskiego brata.

- Ach, tak - Mike rozparł się wygodniej w fotelu.

- A za kórego?

- Najstarszego. Franka.

Mike zaniemówił z wrażenia.

- Franka? - wykrztusił po chwili. Jego brat wzbudzał we wszystkich strach, a na dodatek był równie ciepły jak stan Maine w środku zimy. - Chcesz, żeby twoja matka wyszła za Franka? Powiedz mi, chłopcze, jakim cudem zalazła ci tak za skórę, że życzył byś jej podobnego losu?

Słyszając to, Eli poderwał się z fotela z poczerwieniałą z gniewu twarzą.

- Pan Frank Taggart jest niezwykle miłym człowiekiem. Wypraszam więc sobie jakiegokolwiek niegrzecznej uwagi na jego temat lub na temat mojej matki!

Towarzysząca chłopcu dziewczynka położyła mu dłoń na ramieniu, co sprawiło, że natychmiast opadł z powrotem na fotel, wciąż jednak siedział z manifestacyjnie odwróconą głową, nawet kątem oka nie spoglądając na Mike'a.

- Może ja to wyjaśnię - odezwała się młoda dama, po czym szybko się przedstawiła.

Na Mike'u duże wrażenie zrobiły jej zwiezłość i rzeczowość. Gdy snuła swoją opowieść, Mike raz po raz spoglądał na chłopaka, próbując połączyć wszystkie fakty. A więc ten dzieciak chciał, żeby jakiś miliarder zaopiekował się jego matką. Ambitny smarkacz, nie ma co!

Mike zmienił jednak nieco zdanie, gdy chłopak przerwał nagle swojej przyjaciółce.

- Nie opowiadaj mu już nic więcej. On po prostu nie lubi swojego brata.

- O czym ma mi nie opowiadać? - zainteresował się Mike. - Poza tym, ja bardzo kocham brata. On ma po prostu trudny charakter. Czy jesteś pewien, że mówimy o tym samym Franku Taggercie?

W odpowiedzi Eli wyjął z kieszeni kurtki list i rzucił na biurko. Mike na pierwszy rzut rozpoznał specjalną papeterię Franka, której brat używał, jedynie pisząc do bliskich. W ten sposób wszyscy łatwo

mogli odróżnić korespondencję prywatną od biznesowej. W rodzinie często żartowano, że Frank nigdy nie używa swojego własnego papieru listowego, pisząc do kogoś, kto nie nosi tego samego nazwiska, co on. Krążyły nawet plotki, że jeśli niekiedy zdarzało mu się wysłać listy do jednej z oblegających go licznie kobiet, robił to na papierze firmowym.

A tymczasem do tego chłopca napisał, używając prywatnej papeterii.

- Mogę przeczytać? - spytał Mike miękkim głosem, wyciągając rękę po kopertę.

Eli chwycił list, by schować go z powrotem do kieszeni.

- Daj spokój! To zbyt ważna sprawa - napomniała go Chelsea.

Chłopiec niechętnie wręczył list Mike'owi.

Mike wyciągnął pojedynczy arkusz z koperty i powoli przebiegł po nim oczami. List był napisany odręcznie. O ile Mikowi było wiadomo, Frank nie napisał niczego bez komputera od czasu, gdy skończył studia.

Mój drogi Eli,

Dziękuję za ostatni list. Twoje nowe teorie dotyczące sztucznej inteligencji są niezwykle interesujące. Tak, postaram się sprawdzić, jakie postępy poczyniono ostatnio w tej dziedzinie.

Jednemu z moich braci urodziła się właśnie córeczka. To śliczna mała dziewczynka o różanych policzkach. Ustanowiłem dla niej fundusz powierniczy, ale nikomu o tym nie powiedziałem.

Cieszę się, że spodobał Ci się prezent urodzinowy. Spinki, które dostałem od Ciebie, włożę na następne spotkanie z prezydentem.

Co tam słyhać u Chelsea i mamy? Jeżeli Twój ojciec po raz kolejny spróbuje się wyłgać od alimentów, natychmiast daj mi znać. Znam kilku dobrych prawników, a także kilku niezłych oprychów. Mężczyzna, który nie dziękuje losowi za takiego syna, jak ty, zasługuje na bolesną nauczkę.

Pozdrawiam cię gorąco, Twój przyjaciel, Frank

Mike przeczytał list trzy razy i choć nie miał najmniejszej wątpliwości, że został napisany przez Franka, wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kiedy któremuś z braci czy sióstr urodziło się kolejne dziecko, Frank rzucał jedynie oschłym tonem: „Czy wy nigdy nie przestaniecie się mnożyć?”. A tymczasem do tego chłopca tak ciepło pisał o swojej nowej bratanicy, która rzeczywiście miała różane policzki.

Mike starannie złożył list i wsunął z powrotem do koperty. Eli niemal wyrwał mu ją z dłoni.

- Eli chciałby, żeby pan Frank Taggert spotkał się z jego mamą na neutralnym gruncie, w jasno określonej sytuacji - wyjaśniała Chelsea. - Ona jest pielęgniarką, pomyśleliśmy więc, że mogłaby pojechać do górskiej chaty pana Taggerta, by się nim zaopiekować. Tylko że nie możemy się dowiedzieć, gdzie to jest.

Mike wciąż nie bardzo rozumiał, o co właściwie chodzi w całej sprawie. Zerknął szybko na zegarek.

- Za dziesięć minut mam się spotkać z żoną na lunchu. Czy ze chcielibyście się do nas przyłączyć?

Trzy kwadranse później dzięki wydatnej pomocy żony zrozumiał w końcu, o co chodzi. A także, co ważniejsze, wreszcie się zorientował, kogo przypominał mu ten chłopak. Eli był jak Frank: chłodny sposób bycia, przenikliwe spojrzenie, zdecydowany charakter.

Gdy słuchał całej tej opowieści, poczuł się poniekąd urażony, że starszy brat pokochał jakiegoś obcego dzieciaka, chociaż przynajmniej dał tym dowód, że w ogóle potrafi kogokolwiek kochać.

- Myślę, że to niezwykle romantyczne - oznajmiła Samantha.

- A ja uważam, że kiedy ta biedna kobieta zobaczy Franka, wpadnie w przerażenie - mruknął Mike, lecz szybko zamilkł, gdy Samantha trąciła go nogą pod stołem.

- Więc jak to wszystko zorganizujemy? - zapytała. - A tak przy okazji, jaki rozmiar ubrań nosi twoja mama?

- Dwunastkę - palnęła Chelsea. - Jego mama jest niska i gru... - Nie musiała patrzeć na Eliego, by wiedzieć, że w tej chwili piorunuje ją wzrokiem. Jak na razie prawie się nie odzywał, wciąż obrażony na Mike'a. - To znaczy, jest tu i ówdzie zaokrąglona - poprawiła się szybko.

- Rozumiem, co masz na myśli - odpowiedziała Samantha, wyjmując z torebki niewielki notes.

- A co ma do rzeczy rozmiar jej ubrań? - spytał Mike.

Chelsea i Samantha spojrzały na niego, jakby był niedorozwinięty.

- Przecież nie może pojawić się w tej chacie w dzinsach i barchanowej bluzie, prawda? Chelsea, chodź ze mną, wybierzemy jakieś kaszmiry.

- Kaszmiry?! - wykrzyknęli unisono Mike i Eli, dwaj mężczyźni nierozumiejący kobiecego świata.

Samantha zupełnie zignorowała zdziwienie męża.

- Mike, niezwłocznie napiszesz list do pani Harcourt, w którym...

- Stowe - wtrącił Eli. - Nowa żona mojego ojca zażądała, żeby mama wróciła do panińskiego nazwiska i ona oczywiście to zrobiła.

W tym momencie Samantha posłała mężowi twarde spojrzenie i Mike już wiedział, że nie może być mowy o żadnym zdrowym rozsądku. Od tej pory Eli i Chelsea dostaną wszystko, czego zapragną.

## 6

Randy z ulgą zsiadła z konia i podeszła do drzwi chaty. W ciągu ostatnich dwu dni wydarzenia potoczyły się tak szybko i niespodziewanie, że nawet nie miała czasu nad czymkolwiek się zastanowić. Wczoraj po południu do szpitala przyszedł pewien mężczyzna z prośbą, by przyjęła prywatne zlecenie - opiekę nad jego klientem, u niego w domu, przez najbliższe dwa tygodnie. W pierwszej chwili matka Eliego odmówiła, tłumacząc, że nie może opuścić szpitala, lecz zaraz się okazało, że jej nieobecność została już załatwiona z jednym z dyrektorów - człowiekiem tak ważnym, że Randy w życiu nie widziała go na oczy.

Potem powiedziała, że nie może jechać, bo musi zajmować się synem. Niezwykłym zbiegiem okoliczności niemal w tym samym momencie zadzwonił Eli i poprosił, a właściwie zaczął błagać, żeby pozwoliła mu się wybrać z rodziną Chelsea na ciekawą i pouczającą wycieczkę jachtem. W pierwszym odruchu pomyślała, że nie powinna się na to zgodzić ze względu na szkołę, ale w gruncie rzeczy wiedziała, że syn w gnieniu oka nadrobi wszelkie ewentualne zaległości, a skoro tak bardzo mu na tym rejsie zależało, nie potrafiła odmówić.

Kiedy odłożyła słuchawkę, mężczyzna oferujący jej pracę wciąż stał obok, czekając na odpowiedź.

- Ale tylko na dwa tygodnie - zastrzegła się Randy. - Nie mogę dłużej przebywać poza domem.

Dopiero gdy wyraziła zgodę, dowiedziała się, że jej pacjent przebywa na odludziu, w Górach Skalistych, i że można się tam dostać jedynie helikopterem lub konno. Ponieważ myśl o spuszczeniu się na linie z helikoptera zupełnie nie przypadła jej do gustu, Randy wybrała konia.

Wczesnie rano następnego dnia wyściskała więc i wycalowała Eliego, jakby miała go nie ujrzyć co najmniej rok i wsiadła do samochodu, który zawiózł ją sześćdziesiąt kilometrów w stronę gór. Tam czekał już starszy mężczyzna imieniem Sandy by zabrać ją do chaty. Obok niego stały dwa osiodłane konie i trzy muły objuczone wielkimi pakami.

Jechali przez cały dzień i Randy nie miała wątpliwości, że przez następne kilka dni będzie czuła w kościach tę podróż. Zachwycało ją jednak balsamiczne, górskie powietrze. Jesień powoli zbliżała się ku końcowi i w powiewach wiatru niemal wyczuwało się śnieg, mający wkrótce pokryć zbocza.

Kiedy wreszcie dojechali na miejsce - do pięknej chaty z drewnianych bali i kamienia - Randy pomyślała, że znaleźli się w najbardziej odległym od cywilizacji zakątku kraju. Do chaty nie dochodziły żadne przewody, żadne drogi - tak jakby była zupełnie pozbawiona kontaktu z zewnętrznym światem.

- To straszne odludzie, prawda?

Sandy, zdejmujący pakunki z jednego z mułów, spojrzał na nią uważnie.

- Frank już się postarał, by panowały tu komfortowe warunki. W piwnicy znajduje się minielektrownia, jest też lokalna kanalizacja.

- Jaki to człowiek? - spytała Randy.

Ponieważ do chaty wiodła bardzo wąska ścieżka, nie mieli okazji porozmawiać podczas drogi. O swoim pacjencie wiedziała jedynie, że złamał prawą rękę, był w gipsie i przez to miał problemy z wykonywaniem codziennych czynności.

- Frank w niczym nie przypomina innych ludzi - oświadczył Sandy po chwili zastanowienia. - Jest panem samego siebie. I ma różne przyzwyczajenia.

- Przywykłam do zdziwaczałych starszych ludzi - powiedziała Randy z uśmiechem. - Czy on mieszka tu przez cały rok?

Sandy zaśmiał się cicho.

- W zimie mamy tu ponad trzy metry śniegu. A Frank mieszka tam, gdzie akurat ma ochotę zamieszkać. Przyjechał tu teraz, by... by, jak sądzę, lizać rany. Frank nie mówi wiele. Może wejdzie pani do środka i się rozgości, a ja tymczasem rozpakuję bagaże.

Randy z wdzięcznością przyjęła propozycję. Ledwo rzuciwszy okiem na chatę, weszła do środka, usiadła na krześle i natychmiast zapadła w sen. Kiedy nagle się obudziła, mniej więcej godzinę później, po Sandym nie było już śladu. Jedynie wielka sterta pudeł i worków świadczyła o jego obecności.



W pierwszej chwili Randy poczuła się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że została sama w tym dziwnym miejscu, w końcu jednak wzruszyła ramionami i zaczęła rozglądać się dookoła.

Wnętrze chaty wyglądało tak, jakby zaprojektował je komputer albo człowiek kompletnie pozbawiony uczuć. Była maksymalnie funkcjonalna, w otwartym planie, o kształcie litery L, z olbrzymim kominkiem, przed którym stały sofa i dwa fotele. Może byłby to uroczy obrazek, gdyby miękkie meble nie zostały pokryte ciężkim, ciemnoszarym, szorstkim materiałem, wyglądającym, jakby został wybrany jedynie ze względów praktycznych. Na podłodze nie leżały żadne chodniki, na ścianach nie wisiały obrazy. Był tam tylko jeden stół, a na nim stała szara, ceramiczna lampa. Kuchnia znajdowała się w rogu L i również została zaprojektowana jedynie z myślą o funkcjonalności. Po przeciwnej stronie ustawiono dwa wąskie łóżka, starannie nakryte grubym, brązowym brezentem, a obok mieściła się wyłożona kafelkami łazienka z kabiną prysznicową, małą wanną, białą muszlą i umywalką. Wszystko bardzo proste. Bardzo czyste i uporządkowane. Jakby nikt nigdy tu nie mieszkał.

Randy nagle poczuła panikę na myśl, że może jej pacjent spakował się i wyjechał, a ona będzie teraz musiała przez dwa dni wędrować na piechotę, by wrócić do domu. Ale chwilę później za jednym z łóżek dojrzała dwie pary symetrycznie rozmieszczonych drzwi od szafy. Kiedy otworzyła jedno z nich, ujrzała złożone z wojskową precyzją męskie spodnie z grubego płótna oraz ciężkie buty, bez śladu błota, czy choćby kurzu.

- No, no, jesteście wyjątkowo pedantyczni - mruknęła pod nosem, a potem zmarszczyła brwi, uświadomiwszy sobie, jak blisko siebie stoją oba łóżka. Miała nadzieję, że staruszek nie będzie się do niej zalecał. Musiała to znosić w szkole pielęgniarzkiej. „Daj mi buziaka, kwiatuszku” - zagadywali do niej bezzębni dziadkowie, wyciągając trzęsące się dłonie w stronę jej ciała.

Śmiejąc się na wspomnienie owych głupich zachowań, Randy rozejrzała się po kuchni. Sześć garnków i patelni. Wszystkie idealnie czyste i ustawione jak pod sznurek. W szufladach znajdował się komplet nierdzewnych utensyliów, zapewne nigdy nieużywanych.

- Trudno pana nazwać wytrawnym kucharzem, co panie Taggart? - powiedziała do siebie, dalej myszkując po kuchni. W szafkach znajdowały się słoiki z ziołami i przyprawami - wszystkie jeszcze oryginalnie zapakowane.

- Co, na Boga, jada ten człowiek? - wykrzyknęła.

-

Kiedy otworzyła kolejną szafkę, znalazła odpowiedź. Znajdowała się tam mikrofalówka, a za następnymi drzwiczkami kryła się zamrażarka, pełna gotowych, mrożonych obiadów. Po chwili konsternacji Randy wybuchnęła śmiechem. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała również gotować dla tajemniczego, nieobecnego pana Taggerta.

- Biedaczek. Musi być bardzo wygłodzony - westchnęła i na tę myśl od razu poprawił jej się humor. - A więc, Mirando, nie zostałam tu ściągnięta dla wyuzdanych orgii, tylko by gotować nieszczęsnemu, samotnemu starcowi z ręką w gipsie. Ciekawe, gdzie on się teraz podziewa.

Nie traciła jednak czasu na roztrząsanie tej kwestii, tylko zabrała się do rozpakowywania pudeł. Nie miała pojęcia, co Sandy wiozł na swoich mułach, ale wkrótce się dowiedziała. Obłożone suchym lodem, w izolowanych pojemnikach, znajdowały się połędwice wołowe i ze dwa tuziny mrożonych kurczaków. W innych paczkach zobaczyła sprzęt do wędkowania, a także mąkę, drożdże, rozmaite puszki z żywnością, jak również dwie książki kucharskie. Z każdym odkrywanym artykułem Randy utwierdzała się w przekonaniu, jaką rolę przyjdzie jej tu odgrywać. Gdy pomyślała, że ktoś samotny i chory jej potrzebuje, łatwiej pogodziła się z tym, jak lekko Eli jej oznajmił, że nie będzie mu potrzebna przez następne dwa tygodnie. Tak bardzo chciał pojechać z Chelsea i jej rodzicami na południe Francji, a potem popłynąć do Grecji na pokładzie jachtu jakiegoś włoskiego księcia. Z głębokim westchnieniem Randy wrzuciła kurczaka do mikrofalówki, żeby się rozmroził. Nie miała zamiaru rozmyślać teraz o tym, że Eli dorośleje i z każdym dniem będzie wymagał coraz mniej opieki.

- Moje maleństwo staje się mężczyzną - mruknęła, po czym wyjęła kurczaka i zaczęła przygotowywać farsz z chleba, z szalwią i cebulą.

Przestań się roztkliwiać nad sobą, upomniała się w duchu. Jeszcze nie umierasz. Może spotkasz uroczego mężczyznę, zakochasz się po uszy i urodzisz mu trójkę dzieci. Gdy tylko o tym pomyślała, wybuchnęła śmiechem. Nie była bohaterką romansu ani pięknoscią o figurze przyporządkowanej mężczyźnie o zawrót głowy. Była bardzo zwyczajna - ładna w staroświeckim rozumieniu tego słowa: pulchna, z dołeczkami w policzkach, co nijak się miało do obowiązującej w tych czasach szczupłości i smukłości kończyn. Mówiąc wprost, miała z piętnaście kilogramów nadwagi. Niekiedy pocieszała się, że gdyby żyła w siedemnastym czy osiemnastym wieku, mogłaby poz-

wać do wizerunku Wenus - bogini miłości. W dzisiejszych jednak czasach, gdy najpopularniejsze modelki ważyły poniżej pięćdziesięciu kilogramów, taki typ urody nie miał wzięcia.

Przygotowując posiłek dla nieobecnego pacjenta, Randy starała się zapomnieć o swoim samotnym życiu - o tym, że jej najdroższy syn wkrótce wyjedzie do szkoły, a ona zostanie sama jak palec.

Dwie godziny później w wielkim, kamiennym kominku radośnie płonął ogień, faszerowany kurczak piekł się w nigdy dotąd nieużywanym piekarniku, a w garnku, na płycie, dusiły się warzywa. Randy zerwała trochę dzikich kwiatów rosnących obok chaty i ustawiła w dzbanku na stole, na parapecie zaś położyła suchą sosnową szyszkę. Na oparciu krzesła udrapowała sweter, a na półce kominka ustawiła kamień o interesującym kształcie. Powoli to miejsce zaczynało przypominać dom.

Kiedy drzwi chaty otworzyły się z trzaskiem i do środka wkroczył jej właściciel, Randy omal nie wypuściła czajnika z ręki. To wcale nie był staruszek! Miał włosy lekko przyprószone siwizną na skroniach i ostre linie biegnące od zaciśniętych ust do nosa, ale poza tym kipiał energią i żywotnością. Był to wyjątkowo przystojny mężczyzna w sile wieku.

- Kim pani jest i co pani tu robi? - zapytał ostrym tonem.

Nerwowo przełknęła ślinę. Ten człowiek działał na nią onieśmielająco. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest przyzwyczajony do wydawania poleceń i ich natychmiastowego egzekwowania.

- Jestem pańską pielęgniarką - wyjaśniła pogodnie, wskazując głową na jego rękę, zagipsowaną niemal po sam bark. Musiał ją paskudnie złamać, skoro wymagała takiego usztywnienia, i zapewne miał trudności z wykonywaniem najprostszych czynności.

Uśmiechając się, podeszła do niego i wyciągnęła dłoń. W żadnym razie nie zamierzała mu okazać, jak bardzo ją onieśmielał.

- Miranda Stowe - przedstawiła się, wybuchając nerwowym chichotem. - Ale pan już to przecież wie, prawda? Sandy powiedział, że ma pan przy sobie wszystkie medyczne dokumenty; może gdybym je obejrzała, dowiedziałabym się więcej o pana stanie. - Kiedy wciąż milczał, ściągnęła nieznacznie brwi. - Proszę siadać, kolacja już niemal gotowa. Powolutku. Pomogę panu zdjąć buty.

Wciąż bez słowa wpatrywał się w jej twarz, Randy pociągnęła go więc łagodnie za zdrowe ramię, by usiadł na krześle stojącym przy stole w kuchni. Uklękła, aby rozsznurować mu buty, myśląc przy tym, że mieszkanie w tej chacie z kimś, kto praktycznie w ogóle się

nie odzywa, nie będzie szczególnie przyjemnym doświadczeniem.

Kiedy się zaśmiał, spojrzała na niego przyjaźnie, gotowa wysłuchać, co go tak rozbawiło.

- Jak do tej pory to zdecydowanie najlepszy numer - powiedział w końcu.

- Co takiego? - spytała, sądząc że właśnie przypomniał mu się jakiś dowcip.

- Ty! - Wciąż się uśmiechając, uniósł łobuzersko brew. - Muszę przyznać, że zupełnie nie pasujesz do odgrywania roli - jak ty to powiedziałaś? Pielęgniarki?

- Ja jestem pielęgniarką - odparła Randy z poważną miną.

- Jasne, skarbie. A ja jestem nowo narodzonym bobasem.

Przestała rozwiązywać jego buty, podniosła się i spojrzała mu w oczy.

- A według pana, kim jestem? - zapytała cicho.

- Z czymś takim... - skinął głową w stronę jej wydatnego biustu - ...możesz być tylko jednym.

Randy miała wyjątkowo miękkie serce. Nawet na widok motyla z uszkodzonym skrzydłem zaczynała płakać, ale ten wysoki, przystojny mężczyzna, wskazujący na jej piersi w tak nieprzyzwoity sposób, wzbudził w niej jak najgorsze instynkty. Lata ścielenia łóżek i obracania pacjentów sprawiły, że była silna fizycznie, gdy więc mocno ztrasnęła go w ramię, poleciał z krzesłem do tyłu. Próbował się chwycić kantu stołu, ale uniemożliwiła mu to unieruchomiona w gipsie ręka, tak więc w końcu wylądował z hukiem na podłodze.

Randy wiedziała, że powinna sprawdzić, czy nie stało mu się nic złego, ale odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom chaty.

- Dlaczego... - zaczął, po czym złapał ją za kostkę, zanim zrobiła kolejny krok.

- Proszę mnie puścić! - zawołała, próbując go kopnąć, on jednak ciągnął ją z całej siły, więc w końcu i ona upadła, lądując na jego złamanej ręce. Musiało go to niezłe zabołec, lecz nawet się nie skrzywił.

Obrócił się szybko i całym ciężarem przygniótł ją do podłogi.

- Kim jesteś i ile chcesz?

Randy spojrzała na niego zdeorientowana. Miał około czterdziestki i ciało w idealnej kondycji.

- Mam otrzymać czterysta dolarów za tydzień - odrzekła, spoglądając na niego zmrużonymi oczami. - Za opiekę pielęgniarską - dorzuciła z naciskiem.

- Pielęgniarską - powtórzył kpiąco. - Czy tak to się teraz nazywa?

Próbowała go z siebie zepchnąć, ale był za ciężki.

- Jak mnie tutaj znalazłaś? Przez Simpsona? Nie, on przecież o niczym nie ma pojęcia. Kto cię przysłał? Może Japończycy?

Randy przestała się wyrywać.

- Japończycy?

Czy aby na pewno ten człowiek miał kłopoty tylko z ręką?

- Tak. Nie byli zbyt uszczęśliwieni, gdy przebiłem ich ostatnią ofertę. Rzecz w tym, że w mikrochipach nie ma już przyszłości. Dlatego zamierzam...

- Panie Taggert! - przerwała mu gwałtownie, bo jakby nagle zapomniał, że leży na niej całym swoim ciężarem. - Nie mam pojęcia, o czym pan opowiada. Czy teraz mogę już wstać?

Spojrzał na nią ciemnymi oczami, które w tej chwili wydawały się niemal czarne.

- Nie należysz do kobiet, z jakimi zazwyczaj mam do czynienia, ale ujdiesz, jak sądzę. - Posłał jej lubieżny półuśmieszek. - Takie miękkie ciało będzie stanowić miłą odmianę po tych wszystkich kościstych modelkach i nieodkrytych gwiazdkach ekranu.

Po tej uwadze, sprawiającej, że poczuła się jak kurczak w sklepie mięsnym, dźgany palcem dla sprawdzenia miękkości mięsa, Randy poderwała ostro kolano do góry, uderzając mężczyznę w krocze. Natychmiast stoczył się z niej z jękiem.

- A teraz, panie Taggert, może zechce mi pan powiedzieć, o co chodzi? - spytała, pochylając się nad nim.

Trzymał się jedną ręką za krocze, a kiedy próbował się przekreślić na drugi bok, złamaną ręką wyrznął o nogę krzesła. Randy niemalże mu współczuła.

- Ja jestem...

- Kimże takim?

- Miliarderem.

- Jest pan... - Nie wiedziała, czy wybuchnąć śmiechem, czy kopnąć go w zębra. - Jest pan... - Nawet nie umiała sobie wyobrazić miliarda. - Jest pan bogaty i sądzi pan, że przyjechałam tutaj, aby wyciągnąć od pana jakieś pieniądze?

Powoli dochodził do siebie. Podciągnął się i usiadł ciężko na krześle.

- A z jakiego innego powodu miałyby pani tu przyjeżdżać?

- Ponieważ potrzebował pan pielęgniarki. Pan mnie zatrudnił!

- Już nieraz słyszałem podobne opowiadki.

-

Spoglądała na niego z góry, piorunując go wzrokiem. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiej złości.

- Panie Taggert, może ma pan bardzo dużo pieniędzy, ale najwyraźniej jest pan wyjątkowo ubogi duchem.

Nie zastanawiała się, co robi, nie myślała o tym, że jest w środku Gór Skalistych i nie ma pojęcia, jak trafić z powrotem do cywilizowanego świata. Chwyliła sweter z oparcia krzesła i zdecydowanym krokiem wyszła z chaty.

Ruszyła jakąś ścieżką, trzęsąc się z gniewu i nie bardzo zwracając uwagę na to, dokąd idzie.

Nawet były mąż nigdy nie wzbudził w niej takiej wściekłości jak ten człowiek. Leslie kłamał i manipulował nią na każdym kroku, lecz nigdy nie zarzucił jej, że się źle prowadzi.

Wędrowała w górę i w dół, zupełnie nieświadoma, że właśnie zaczęło zachodzić słońce. W jednej chwili było przyjemnie i ciepło, a w następnej - ogarnęły ją lodowate ciemności. Wciągnęła szybko sweter, ale na niewiele się to zdało.

- Gotowa do powrotu?

Omali nie wyskoczyła ze skóry na dźwięk tego głosu. Odwróciła się, ale z trudem dojrzała jego sylwetkę wśród drzew.

- Nie mam zamiaru iść z panem do chaty - oświadczyła. - Chcę się znaleźć z powrotem w Denver.

- Oczywiście. Tyle że Denver leży tam. - Machnął ręką w stronę dokładnie przeciwną do tej, w którą się kierowała Randy.

Postanowiła zachować resztki dumy.

- Chciałam... chciałam zabrać moje torby. - Rozejrzała się wokół, po czym ruszyła przed siebie.

- Hmm, hmm - chrząknął, wskazując za swoje prawe ramię.

- No dobrze, panie Taggert. Wygrał pan. Rzeczywiście, nie mam pojęcia, gdzie się znajduję i dokąd zmierzam.

Postąpił dwa kroki w jej stronę, odsunął jakieś krzaki i tam, mniej więcej sto metrów przed nimi, stała chata. Z okien sączyło się ciepłe, miłe światło. Randy prawie czuła żar bijący od kominka.

Odwróciła się jednak zdecydowanie i ruszyła w kierunku Denver.

- A teraz gdzie się pani wybiera?

- Do domu - odparła, potykając się o wystający korzeń.

Jakimś cudem udało jej się jednak zachować równowagę i nie upaść. Wyprostowała się i stanowczym krokiem zaczęła iść przed siebie.

W okamgnieniu Taggert znalazł się przy niej.

- Zamarznie tu pani na śmierć. O ile wcześniej nie padnie łupem niedźwiedzia.

Randy zignorowała jego słowa.

- Żądam, aby pani natychmiast...

Zatrzymała się i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Pan nie ma prawa niczego ode mnie żądać. Żadnego prawa. Może więc zostawić mnie pan wreszcie w spokoju. Ja chcę do domu!

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ostatnie słowa wypowiedziała płaczącym tonem. Nigdy nie umiała złościć się zbyt długo. Bez względu na to, co zrobił Leslie, gniewała się tylko przez kilka chwil.

Wyprostowała się i znów ruszyła przed siebie.

- Czy mogę zatrudnić panią w charakterze gosposi? - zapytał, wciąż idąc u jej boku.

- Nie ma takiej sumy, za którą zgodziłabym się dla pana pracować.

- Doprawdy? Ale jeżeli jest pani biedna...

- Ja nie jestem biedna. Po prostu mam mało pieniędzy. Za to pan, panie Taggert jest prawdziwym biedakiem. Wydaje się panu, że każdego można kupić.

- Bo można. Panią również. A także i mnie, gdy już o tym mowa.

- Musi pan być bardzo samotnym człowiekiem.

- Nigdy nie mam dość czasu dla siebie, by zastanowić się nad tym, czym w istocie jest samotność. A teraz, wracając do tematu, ile mam pani zaoferować, żeby zgodziła się pani dla mnie gotować?

- Czy tego właśnie pan ode mnie chce? Wołowej pieczeni?

Poczula nagły przypływ energii. Może rzeczywiście mogłaby być dla niego użyteczna. I może dzięki temu nie będzie musiała przez całą noc biec po zboczu góry, ścigana przez niedźwiedzia.

- Pięćset dolarów za tydzień.

- Cha, cha.

- Tysiąc?

- Cha. Cha. Cha - odparła z sarkazmem.

- Jaka jest więc pani cena? Czego pani chce najbardziej na świecie?

- Najlepszego wykształcenia dla mojego syna.

- Cambridge - rzucił automatycznie.

- Wszystko jedno, byle było to najlepsze miejsce.

- A więc chce pani, żebym zafundował jej synowi cztery lata na uniwersytecie w Cambridge w zamian za tydzień gotowania? Mówimy tu o grubych tysiącach.

- Nie tylko cztery lata, ale jeszcze studium doktoranckie.

-

Frank roześmiał się kpiąco.

- Chyba postradałaś zmysły, kobieto! - odparł i ruszył w swoją stronę.

Randy zatrzymała się i spojrzała na jego oddalające się plecy.

- Widziałam, że w pobliżu chaty rosną poziomki. Umieję smażyć naleśniki tak cienkie, że niemal przezroczyste. Mamy tu świeżą śmietaną, mogłabym ją ubić, i z poziomkami byłby to doskonały krem do naleśników. Robię też potrawkę z królika, która dusi się przez cały dzień. Przyprawioną dziką szalwią. Widziałam też, że po pobliskim stawie pływają kaczki. Nawet nie wyobraża pan sobie, co potrafię zrobić z kaczki i liści herbaty.

Frank przystanął.

- Ale pan nie jest tym zainteresowany, prawda panie miliarderze? Może pan upiec swoje pieniądze na patyku nad ogniskiem i zapewne będą miały wspaniały smak.

Odwrócił się w jej stronę.

- Ziemniaki?

- Małeńkie, trzymane cały dzień w żarze, aż staną się pachnące i mięciutkie. Podaję je z roztopionym masłem i pietruszką.

Postąpił krok w jej stronę.

- Widziałem torby z mąką - powiedział niskim głosem.

- Na śniadanie smażę placki biszkoptowe z miodem, a na kolację piekę chleb z koprem.

- Studium doktoranckie?

- Tak - odparła zdecydowanie, wyobrażając już sobie szczęście Eliego, gdy znajdzie się na tak renomowanej uczelni.

- No dobrze - oświadczył po chwili w taki sposób, jakby żadne słowa w życiu nie przeszły mu przez gardło z równie wielkim trudem.

- Chcę to na piśmie.

- Tak jest. Oczywiście. Czy teraz możemy już wracać do chaty?

- Owszem.

Minęła go z wysoko uniesioną głową, Frank jednak ponownie odgarnął kępę krzewów.

- Proponuję wybrać tę drogę. Jest dużo krótsza.

I znowu, mniej więcej sto metrów od nich, Randy ujrzała chatę. Kiedy przechodziła obok Franka, rzucił w jej stronę:

- Bogu dzięki, że pani zdolności kulinarne są dużo lepsze niż wyczucie kierunku.

- Bogu dzięki, że ma pan dość pieniędzy, by móc kupić wszystko, czego panu trzeba.

-



Nie zauważyła, jak się skrzywił, słysząc te słowa. Prawdę mówiąc, Frank Taggert nie miał żadnego doświadczenia w postępowaniu z kobietami, które nie rozplywały się na jego widok. Z powodu jego fortuny i urody, kobiety zawsze go oblegały.

Ale tamte nie miały nic wspólnego z tą kobietą. Większość z nich to długonogie piękności, które łatwo było zadowolić byle błyskotkami. Frank szybko się przekonał, że gdy któraś z nich mu się znudziła, określona ilość biżuterii zawsze osuszała łzy.

Tymczasem ta tutaj mogła dostać mnóstwo pieniędzy, a poprosiła o coś dla syna.

Spoglądając na nią, gdy maszerowała zdecydowanym krokiem w stronę chaty, zaczął się zastanawiać, jakim człowiekiem jest mąż tej kobiety, jeżeli pozwolił, by pojechała samotnie w góry i zaopiekowała się innym mężczyzną.

Kiedy znaleźli się już w domu, zasiadł wygłodniały za stołem, czekając, aż ona podgrzeje posiłek. Podała mu pełen talerz, a potem nałożyła porcję dla siebie i podeszła do sosnowej ławy stojącej przed kominkiem. Usiadła na podłodze i zaczęła jeść, wpatrując się w ogień.

Zirytowany, z wielkim trudem wziął w jedną rękę talerz i sztucce, i przeniósł się przed kominek. Ledwo usiadł, ona wstała i przeszła do kuchennego stołu.

- Dlaczego pani to zrobiła? - zapytał gniewnie.

- Siła najemna nie powinna jadać z panem miliarderem.

- Czy mogłaby pani przestać mnie tak nazywać? Mam na imię Frank.

- Wiem, panie Taggert. A jak brzmi moje nazwisko?

Za nic na świecie nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział, że mu je podała, ale - biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich doszło do prezentacji - było całkiem zrozumiałe, iż umknęło jego uwagi.

- Nie pamiętam - przyznał.

- Nazywam się Stowe. I zostałam zatrudniona w charakterze pielęgniarki.

Siedziała tuż za nim, przy kuchennym stole, a kiedy się obrócił, wywołując tym ostry ból w złamanym ramieniu, zobaczył, że była zwrócona tyłem do niego. Po raz kolejny się przesiadł, by móc patrzeć chociaż na jej plecy.

- Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, przez kogo?

Kurczak rzeczywiście okazał się wyśmienity i Frank doszedł do wniosku, że tygodniowa przerwa od konserw warta jest wysłania jakiegoś dzieciaka na uniwersytet. No, prawie warta. Może uda się odliczyć te koszty od podatku, gdyby zaksięgować je jako wydatki

na działalność charytatywną. Mogłoby się to nawet okazać opłacalne, jeśli tylko...

- Przez pańskiego brata.

Frank o mały włos się nie zakrztusił.

- Mój brat panią wynajął? Który?

Wciąż siedziała odwrócona do niego plecami i Frank zobaczył, jak sztywnieją jej ramiona. Nie były to ramiona modnie kwadratowe, ale pulchne i zaokrąglone.

- Odnoszę wrażenie, panie Taggert, że ktoś zrobił panu dość niemiły dowcip. I aż boję się pomyśleć, że więcej niż jeden z pańskich braci żywi do pana taką animozję, iż gotów był się posunąć do podobnego psikusa.

Frank doskonale wiedział, że każdy z jego braci z największą radością spletałby mu każdego możliwego figla, ale nie uznał za stosowne jej o tym poinformować.

Po tej uwadze na temat jego braci nie odezwał się więcej i skoncentrował na jedzeniu. Nie zwolniłby z powodu tej kobiety swego francuskiego kucharza, ale było to rzeczywiście smaczne, domowe jedzenie, podane w solidnych ilościach. W jego domu w Denver. apartamencie w Nowym Jorku czy mieszkaniu w Londynie kucharze przyrządzali wyłącznie niskokaloryczne posiłki, by Frank bez trudu mógł utrzymać perfekcyjną sylwetkę.

Kędy skończyła jeść, bez słowa posprzątała naczynia, a on, rozkosznie najedzony, oparł się o sosnową ławę i zapatrzył w ogień. Nigdy nie był palaczem, ale kiedy Randy postawiła przed nim maleńką filiżankę doskonałej kawy, żałował, że nie ma cygara. „I pulchnej kobietki do łóżka”, jak zwykł mawiać jego ojciec.

Zrelaksowany i senny, przyglądał się swej nowo przyjętej gospodyni krzątającej się po domu, porządkującej to i owo, aż nagle...

- Co pani robi? - spytał, patrząc ze zgrozą, jak kobieta wbija gwóźdź w ścianę pomiędzy dwoma łózkami.

- Oddzielne sypialnie - odparła. - A w każdym razie coś do tego zbliżonego.

- Zapewniam panią, pani Stowe, że to zupełnie zbędne. Nie mam zamiaru w żaden sposób się pani narzucać.

- Przedtem bardzo dobitnie pan powiedział, co sądzi o moim - nazwijmy to - kobiecym uroku.

Wbiła kolejny gwóźdź w przeciwległą ścianę, po czym przeciągnęła między nimi grubą linkę. Frank z przerażeniem patrzył, jak zawiesiła na sznurze prześcieradła, tworząc solidną zasłonę między łózkami. Z trudnością dźwignął się z podłogi.

- Nie musi pani tego robić.
- Ja tego nie robię dla pana, tylko dla siebie. Bo widzi pan, panie miliarderze, ja pana zdecydowanie nie lubię. I obawiam się, że takie same uczucia żywi wobec pana reszta świata. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym wziąć kąpiel.

## 7

Randy weszła do tak gorącej wody, że aż zaczęły piec ją stopy, ale potrzebowała tego ciepła, by ogrzać serce. Przebywanie z Frankiem Taggertem było jak siedzenie w pobliżu góry lodowej. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek miał w sobie odrobinę ludzkiego ciepła, czy kiedykolwiek kogoś kochał. Chętnie widziałaby go w roli romantycznego bohatera: zraniony przez jakąś bezduszną kobietę, stał się zimny, by chronić swoje miękkie, kochające serce.

Niemal wybuchnęła śmiechem na tę myśl. Przez cały wieczór spoglądał na nią taksującym wzrokiem, wciąż czuła jego przenikliwe spojrzenie na swoich plecach. Zapewne zastanawiał się, gdzie jest jej miejsce na ziemi. Mniej więcej jak księgowy, dumający do jakiej rubryki wpisać daną kwotę.

- Leslie przynajmniej miał w sobie pasję - wyszeptła. - Kłamał z pasją, zdradzał z pasją i z pasją zarabiał pieniądze.

Tymczasem gdy patrzyła w oczy Franka Taggerta, nie widziała w nich żadnych emocji. On nigdy by nie skłamał, gdzie spędził noc, bo nigdy nie miał w sobie dość ciepłych uczuć, by próbować oszczędzić kobiecie bólu.

Ogólnie rzecz biorąc, lepiej pozostawić w spokoju temat pana miliardera. Tęsknie zaczęła myśleć o Chelsea i Elim, zastanawiając się, co robią dzisiejszego wieczoru. Czy Eli aby na pewno dobrze się odżywia, gdy matka nie może o niego zadbać? Czy nocami w ogóle wyłącza komputer, żeby się przespać, gdy jej nie było obok, by tego dopilnować?

Musi natychmiast przestać myśleć o synu albo zacznie płakać z tęsknoty. Nagle dotarło do niej, że ten, kto spłatał Frankowi Taggertowi takiego figła, niechcący i jej zrobił przykrość. Zapewne komuś wydawało się, że podesłanie zwykłej, nieszczerólnie atrakcyjnej kobiety takiemu przystojnemu, wykształconemu i bogatemu człowiekowi jak pan Taggert będzie niebywale śmiesznym dowcipem.

Wytarła się i sięgnęła do podręcznego nesesera po flanelową koszulę i stary szlafrok. Na widok rzeczy znajdujących się w środku, wpadła w panikę. To nie była jej bielizna! Kiedy zobaczyła metkę Diora na pięknej, różowej koszuli nocnej, była bliska omdlenia. A gdy ją wyciągnęła, zobaczyła, że jest uszyta z najdelikatniejszej, egipskiej bawełny i ozdobiona na staniku maleńkimi jedwabnymi różyczkami. Stanowiący z nią komplet szlafrok był prawie przezroczysty. Nie trzeba było inteligencji Eliego, by zrozumieć, że czegoś podobnego nie nosi kobieta będąca jedynie gosposią.

Zarzucała wielki ręcznik na ramiona, by ukryć piękną koszulę i szlafrok, wypadła z łazienki, przemknęła obok łóżka, na którym siedział Frank, wbiegła za zasłonę i nerwowo zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu własnych ubrań.

- Czy coś się stało? - usłyszała zza przepierzenia.
- Nie, skądże. Wszystko w porządku.

Gorączkowo przerzucała zawartość toreb, ale nie znalazła tam ani jednej znajomej rzeczy. Jeżeli gwiazda z lat trzydziestych wybierałaby się na weekend w Górach Skalistych, wzięłaby ze sobą właśnie takie stroje, jakie znajdowały się teraz w torbach Randy. Ale Randy nigdy nie nosiła rzeczy z kaszmiru i jedwabiu czy też wełny tak delikatnej, że mogłaby służyć za puszek do pudru.

Randy była bardzo spokojną i cierpliwą kobietą. Jakże inaczej mogłaby znosić wszystkie wybryki Lesliego? Tego jednak było już dla niej za dużo.

Zdecydowanym ruchem odsunęła oddzielające łóżka prześcierała i podsunęła pod nos Frankowi Taggertowi trzy kaszmirowe swetry.

- Chcę się natychmiast dowiedzieć, o co właściwie chodzi. Cemu się tu znalazłam? I czyje są te ubrania?

Siedzący na skraju łóżka Frank właśnie zabierał się do rozsznurowywania butów.

- Czy jest pani mężatką, pani Stowe?
- Rozwódką.

- Ach tak. Więc wszystko jasne. Pochodzę z dużej, nieustannie się rozmnażającej rodziny. Zapewne doszli do wniosku, że powinienem pójść w ich ślady.

- To znaczy... - Zaszokowana Randy opadła na brzeg swojego łóżka. - Oni... Chce pan powiedzieć, że chcieli, abyśmy...

- Tak przynajmniej sędzę.

- Tak pan sądzi? - Z trudem przełknęła ślinę. - Do tej pory byłam przekonana, że pańska rodzina przysłała mnie tu, ponieważ myśl o

kobiecie takiej jak ja w towarzystwie kogoś takiego jak pan wydała im się niesłychanie zabawna.

Nawet nie próbował udawać, że nie rozumiał. Przez cały czas usiłował rozwiązać sznurowadła. Jak do tej pory nie udało mu się nawet poluzować wężła.

Odruchowo - nie zastanawiając się, co robi, a już zupełnie nie myśląc o tym, co ma na sobie - Randy uklękła przed nim, po czym rozsznurowała i zdjęła mu buty.

- Nie chciałabym uchodzić za wścibską - oznajmiła, ściągając mu skarpetki i robiąc szybki masaż stóp, tak jak Eliemu, a kiedyś i Lesliemu. - Ale czemu mieliby wybrać kogoś takiego, jak ja? Ze swoim wyglądem może mieć pan każdą kobietę.

- Jest pani w ich typie. Chodząca reklama płodności.

Właśnie zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Co takiego?

- Uosobienie płodności. Pean na cześć macierzyństwa. Założę się, że syn jest dla pani całym światem.

- A co w tym złego? - zapytała defensywnym tonem.

- Nic, jeżeli sprawia to pani przyjemność.

Ściągnęła mu koszulę.

- Czy może być coś ważniejszego w życiu kobiety niż poświęcenie się własnym dzieciom?

- Ma pani więcej niż jedno?

- Nie - odrzekła ze smutkiem, a kiedy spojrzała mu w oczy, miała wrażenie, że zaraz powie „wiedziałem”. - A więc pański brat wysłał mnie tu w nadziei, że... że co właściwie, panie Taggart?

- Sądząc po tej koszuli nocnej powiedziałbym, że stoi za tym Mike, gdyż jego żona, Samantha, jest uosobieniem typowej heroiny romansu.

- Heroiny romansu?

- Tak. Największą przyjemność w życiu sprawia jej roztaczanie opieki nad Mikiem i ich wciąż rosnącą gromadką dzieci.

- Najwyraźniej dawno nie czytał pan powieści dla kobiet. Obecnie ich bohaterki dążą do niebywałego sukcesu zawodowego i pełnej kontroli nad swym życiem, a na dodatek...

- Chcą mieć męża i dzieci.

- Niekiedy. Proszę wstać - zarządziła i zaczęła rozpinać mu spodnie. W swoim życiu rozbierała już niezliczoną ilość pacjentów, więc i teraz zabrała się do tego automatycznie, nie zastanawiając się specjalnie nad tym, co robi.

- A jak wielu bohaterów tych romansów mówi: „Chciałbym iść z tobą do łóżka, ale nigdy nie zamierzam się żenić i płodzić dzieci”?

- Rozumiem pański punkt widzenia. Według pana bohatera romansu powinna cechować wyjątkowo stabilna psychika.

- Czy uważa pani, że niechęć do małżeństwa i posiadania dzieci świadczy o zaburzeniach psychicznych?

Uśmiechnęła się do niego zimno.

- Jeszcze nie spotkałam kogoś podobnego do pana, zakładam jednak, że nigdy nie był pan żonaty, nigdy się pan nie ożeni i w żadnym razie nie chce pan mieć dzieci. A gdyby już coś takiego się panu, nie daj Boże, przytrafiło, odwiedzałby pan swoje dziecko tylko z nakazu sądowego.

Do tej pory rozebrała go już do slipów i t-shirtu. Niewątpliwie ten mężczyzna mógł się poszczycić wspaniałym ciałem, ale Randy nic do niego nie czuła - równie dobrze mogłaby dotykać marmurowego posągu.

- Czemu pani sądzi, że nigdy nie byłem żonaty? Wielokrotnie w życiu mogłem się ożenić. - W jego głosie pobrzmiwała autentyczna ciekawość.

- Jestem pewna, że pan mógł. Rzecz w tym, że jedyny powód, dla którego jakakolwiek kobieta byłaby skłonna wyjść za pana, to pańskie pieniądze.

- Słucham?!

Może było to obrzydliwe z jej strony, odczuwała jednak swoją przyjemność, widząc, że zdołała zburzyć jego niewzruszony spokój.

- Nie jest pan typem mężczyzny, o jakim marzą kobiety.

- A o jakim marzą, pani Stowe?

Uśmiechając się tkliwie, pościeliła mu łóżko.

- O takim, który będzie należał tylko do niej, którego myśli będą krążyły wokół jej osoby. Być może z pasją zajmie się rozwiązywaniem najważniejszych problemów tego świata i każdy postronny obserwator uzna go za niebywałego twardziela, ale gdy już wróci wieczorem do domu, położy głowę na kolanach żony i wyzna, że bez niej nie mógłby niczego osiągnąć. I co najważniejsze - ona będzie wiedziała, że to najszczerza prawda. Będzie się czuła potrzebna.

- Ach, pojmuję. Silny mężczyzna, który jest jednocześnie słaby.

- Nic pan nie pojmuje - oświadczyła Randy z westchnieniem. - Proszę mi powiedzieć, czy pan zawsze wszystko analizuje? Rozbiera na czynniki pierwsze? Szufladkuje niczym księgowy w księdze przychodów i rozchodów? - Spojrzała na niego ostro. - Po co właściwie zarabia pan te miliardy?

Frank wśliznął się pod koldrę

- Mam mnóstwo siostrzenic, bratanic, siostrzeńców i bratanków. Zapewniam panią, że całkowicie uporządkowałem swoje sprawy majątkowe. Gdybym przypadkiem jutro zszedł z tego świata...

- Gdyby zszedł pan z tego świata... - wpadła mu w słowo... kto by za panem tęsknił? Kto by płakał na pańskim pogrzebie?

Nagle poczuła się bardzo zmęczona, podeszła więc do swojego łóżka i zaciągnęła prowizoryczną zasłonę. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna. Być może z powodu opowieści Eliego o tym, jak to będzie, gdy pójdzie do college'u, a może takie uczucie wzbudziła w niej sugestia tego mężczyzny, że powinna była urodzić więcej dzieci. Kiedy Eli zacznie studiować, zostanie sama - bo zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, że do tego czasu jakiś wspaniały mężczyzna przyjedzie przed jej dom na czarnym rumaku...

Więcej już nie zdążyła pomyśleć, bo zapadła w sen.

Nie wiedziała, jak długo spała, kiedy obudził ją dźwięk męskiego głosu.

- Pani Stowe.

Zaskoczona, otworzyła oczy i ujrzała Franka Taggerta, stojącego jedynie w bieliźnie i spoglądającego na nią bardzo poważnym wzrokiem. Jedynym źródłem światła w chacie był wygasający żar kominka.

Założę się, że właśnie taką minę przybiera, gdy finalizuje jeden ze swoich multimilionowych kontraktów, pomyślała Randy, zastanawiając się jednocześnie, czego mógł od niej chcieć o takiej porze.

-Tak?

- Chciałbym pani zaproponować coś na kształt fuzji.

Podciągnęła się w górę i oparła o zagłówek łóżka, zupełnie nieświadoma, że koszula wyjątkowo ściśle opina jej kształty. Frank zresztą też zdawał się tego nie zauważać.

- Jeszcze kilka dni wcześniej to, co od pani usłyszałem, nie wywarłoby na mnie żadnego wrażenia. Moja rodzina zdążyła mi już to wszystko powiedzieć, a nawet dużo więcej. Niemniej gdy mężczyzna przekracza czterdziestkę i dorabia się...

- Miliardów - wtrąciła.

- Tak... No więc... nadchodzi taki czas, kiedy do człowieka dociera, że nie jest nieśmiertelny.

- Midas - rzuciła Randy, przypominając sobie mit o królu Frygii, którego dotyk wszystko, łącznie z jego ukochanymi dziećmi, zamieniał w złoto.

- No właśnie. - Taggert zawahał się i przelotnie spojrzął na jej

-

piersi. - Wbrew temu, co się o mnie sądzi, ja też jestem człowiekiem.

Słyszając te słowa Randy naciągnęła kołdrę po samą szyję. Nie należała do kobiet, czerpiących przyjemność z przelotnych miłości. Prawdę mówiąc nigdy nawet nie czytała do końca romansu, jeżeli bohaterka miała wielu kochanków.

- Panie Taggert... - zaczęła.

On jednak uciszył ją wzniesieniem dłoni.

- Proszę się mnie nie obawiać. Nie jestem typem gwałciiciela. Wypuściła skraj kołdry z dłoni. Ostatecznie nie należała do kobiet wzbudzających w mężczyznach niepohamowane żądze.

- Co właściwie próbuje mi pan powiedzieć?

- Chciałem zapytać, czy zgodziłaby się pani zostać moją żoną.

## 8

- Żoną? - zapytała, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Pańską żoną?

- Tak - odrzekł pełnym powagi tonem. - Widzę, że zaszokowała panią moja propozycja. Rzeczywiście, większość mężczyzn o moim statusie majątkowym żeni się z wysokimi, posagowymi blondynkami, trenującymi jazdę konną i noszącymi ubrania *haut couture*. Nie interesują się niskimi, grubawymi, niewymanikiowanymi...

- Rozumiem. Czemu więc nie ożeni się pan z jedną z tych amazonek, spędzających większość życia na przymierzaniu eleganckich strojów?

Skwitował jej zgryźliwą uwagę nieznacznym uśmiechem.

- Bo chcę być panem w swoim własnym domu, a poza tym - jak słusznie pani zauważyła - takim kobietom zależy jedynie na moich pieniądzach.

- Mnie zaś, panie Taggert, nie zależy ani na pańskich pieniądzach, ani na panu - odparła ostro.

Posłał jej złośliwy uśmiech.

- Niewątpliwie ma pani wiele problemów, które można by rozwiązać za pomocą pieniędzy. Zapewne mieszka pani w domku obciążonym potężną hipoteką i jeździ kilkuletnim samochodem. A czy eksmażonek płaci sumiennie alimenty? Pani z pewnością nie należy do osób, które pozwałyby kogoś do sądu. Jak dawno temu



kupiła pani sobie coś nowego z ubrania? No i zapewne pani syn również potrzebuje wielu rzeczy.

Tak dokładny opis jej sytuacji wzbudził w Randy złość.

- Brak pieniędzy to nie wstydliva choroba. A ponieważ niewolnictwo zniesiono już wiele lat temu, nie muszę się sprzedawać dla nowego samochodu.

- A co by pani powiedziała na białego mercedesa z czerwoną, skórzaną tapicerką?

Randy z trudem stłumiła uśmiech.

- Panie Taggert, to doprawdy idiotyczne. Z jakiego powodu tak naprawdę prosi mnie pan o rękę? O ile pańska oferta jest wciąż aktualna.

- Oczywiście. Gdy już raz się na coś zdecyduję, niełatwo zmieniam zdanie.

- W to akurat jestem skłonna uwierzyć.

Znowu posłał jej ów szczególny uśmiezek, a tymczasem Randy zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek któraś z tych jego posągowych piękności odważyła mu się przeciwstawić.

- Moje życie jest zbyt perfekcyjne - powiedział po chwili. - Zaczyna mnie to niezwykle nużyć. Wszystko zawsze znajduje się w ściśle określonym miejscu. Cała służba działa jak idealnie naoliwiona maszyna. Nawet szczotki i grzebienie leżą w moich domach w tym samym porządku. Jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że miło było by mieć u boku żonę, kogoś dobrze mi znanego. Lubię otaczać się znajomymi rzeczami. Moje wszystkie domy wyglądają identycznie.

Randy spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Takie same ręczniki, takie same...

- Ubrania, powieszzone dokładnie w identyczny sposób, tak że bez względu na to, gdzie się znajduję, mogę wszystko znaleźć bez najmniejszego problemu.

- O rany. To rzeczywiście nudne.

- Ale wygodne. Niesłuchanie wygodne.

- A gdzie w tym wszystkim byłoby miejsce dla mnie?

- Jak już wspomniałem, od jakiegoś czasu noszę się z myślą o małżeństwie, ale typowa żona dla mężczyzny z moimi pieniędzmi byłaby równie idealna jak moje obecne życie.

- Czemu więc nie ożeni się pan z kilkoma naraz? - podsunęła usłudźnie. - Inna żona do każdego domu. Dla przełamania monotonii mógłby pan zażądać, aby różniły się kolorem włosów, tym bardziej że niewątpliwie wszystkie i tak będą je farbować.

Tym razem uśmiechnął się szeroko.

- Gdyby żony nie były aż tak kłopotliwe, zrobiłbym to już wiele lat temu.

Randy także nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Zdaje się, że zaczynam pojmować. Chciałby pan się ze mną ożenić, bo wniosłabym do pańskiego życia nieco chaosu.

- I dzieci.

- Dzieci?!

- Tak. Pochodzę z wyjątkowo płodnej rodziny. Niezwykle często rodzą się nam bliźnięta. Niedawno doszedłem do wniosku, że chciałbym mieć własne dzieci. - Odwrócił od niej spojrzenie. - Od chłopięcych lat świetnie zdawałem sobie sprawę ze swoich obowiązków. Jako najstarszy z licznej rodzeństwa wiedziałem, że będę musiał się zająć interesami rodziny.

- Był pan kimś w rodzaju następcy tronu.

- Właśnie. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem wypełnianie obowiązków. Aż mniej więcej dwa lata temu poznałem pewnego chłopca.

- Chłopca?

- Tak. Przyszedł z wycieczką szkolną do biura mojego brata, kręcił się po sekretariacie, udawał że wraz z innymi dziećmi interesuje się firmowymi gadżetami, ale tak naprawdę wszystkiemu pilnie się przysłuchiwał i przyglądał. Zacząłem z nim rozmawiać i nagle odniosłem wrażenie, że patrzę na samego siebie.

- I wówczas zapragnął pan mieć własne dzieci. Najchętniej małego klona pańskiej osoby, czy tak?

- Mniej więcej. W każdym razie ten chłopiec odmienił moje życie. Od tamtej pory ze sobą korespondujemy. Zostaliśmy... - uśmiechnął się ciepło - zostaliśmy przyjaciółmi.

Randy z przyjemnością usłyszała, że przynajmniej jedna osoba na tym świecie żywiła do tego człowieka przyjazne uczucia, nie mogła jednak wyjść za niego z nadzieją, że urodzi dziecko podobne do jego młodego przyjaciela.

- Panie Taggert, ja zapewne nie byłabym w stanie wydać na świat takiego syna, jakiego pan sobie wymarzył. Mój jest kochający i czuły, to uosobienie zyczliwości i dobroci. Zapewne zapadłby się pod ziemię ze wstydu, gdyby się dowiedział, że komuś o tym mówię, ale wciąż jeszcze codziennie wieczorem otulam go kołdrą i czytuję mu do snu.

Nie wspomniała, że czyta Eliemu uniwersyteckie podręczniki do fizyki kwantowej, bo w pewnym sensie zburzyłyby to sielski obrazek ich życia.

Odwracając głowę, Frank oznajmił:

- Osobiście wolałbym, żeby moje dzieci były bardziej uczuciowe ode mnie.

W tym momencie Randy zrozumiała, że ten mężczyzna nie żartuje. Chłodno, z zachowaniem emocjonalnego dystansu naprawdę prosi, by za niego wyszła. I urodziła mu dzieci. Patrząc na Taggerta, jakoś zupełnie nie mogła go sobie wyobrazić ogarniętego pożądaniem i namiętnością. Może powierzyłby to zadanie swojemu zastępcy do spraw produkcji? „Charles, moja żona wymaga serwowania”.

- Coś panią rozśmieszyło - zauważył.

- Ach, po prostu przebiegło mi przez głowę coś zabawnego. - Popatrzyła na niego z głębokim współczuciem. - Pannie Taggert, doskonale rozumiem pański dylemat i chętnie bym panu pomogła. Gdyby w grę wchodziło jedynie moje życie, mogłabym rozważyć pańską propozycję, ale w tym wypadku sprawa jest bardziej skomplikowana. Mówimy tu również o dzieciach. Miałby pan wpływ na życie mojego syna, a gdybym jeszcze urodziła mu rodzeństwo... Cóż, osobiście chciałabym, żeby moje dzieci miały kochającego ojca z prawdziwego zdarzenia, a jakoś nie mogę sobie wyobrazić pana czytającego dwulatкови bajki na dobranoc.

Przez chwilę siedział w kompletnym bezruchu.

- A więc mówi mi pani „nie”? - zapytał w końcu.

- Tak. To znaczy, nie. Chciałam powiedzieć, że mówię „nie”. W żadnym razie nie mogę zostać pańską żoną.

Przez moment wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, a potem umknął za zasłonę i wrócił do własnego łóżka.

Tymczasem Randy myślała, czy przypadkiem jej się to wszystko nie przyśniło. Czyżby rzeczywiście nie wyraziła zgody na ślub z nieprzytomnie bogatym mężczyzną? To by oznaczało, że cierpi na nieuleczalną głupotę. Całkowicie zatraciła zdrowy rozsądek. Eli miałby wszystko, czego by zapragnął. A ona mogłaby...

Westchnęła głęboko. Byłaby żoną mężczyzny, który ożenił się z nią tylko po to, by wprowadziła nieco chaosu w jego uporządkowane życie. Jaka zabawna historia. Niska, gruba Miranda, krążąca wokół chaty i nie mająca pojęcia, gdzie się znajduje. Tępa Miranda, na tyle głupia, by nabrać się na dowcip zrobiony zinnemu, bezdusznemu miliarderowi.

Tym razem, choć bardzo tego chciała, nie mogła szybko zapaść w sen.

Następnego ranka przygotowywała naleśniki z poziomkami, a Frank siedział przed kominkiem, wbijając oczy w książkę na temat reformy podatkowej. Ponieważ od piętnastu minut nie przewrócił strony, doszła do wniosku, że zajmował się rozmyślaniami a nie czytaniem.

Niewątpliwie była pierwszą inwestycją, której nie mógł dokonać za swoje pieniądze. Do czego byłby skłonny się posunąć, żeby ją zdobyć? Wysłałby Eliemu górę słodyczy? Mężczyzna pokroju Franka Taggerta nigdy nie zadałby sobie trudu, by się dowiedzieć, że od wszystkich słodyczy świata chłopiec wolałby nowy CD-ROM.

Kiedy spoglądała na miliardera spod oka, ogarniało ją szczere współczucie. Świadomość całkowitego wyobcowania otaczała go jak szklana ściana pancerna.

Właśnie przygotowywała syrop do poziomek i myślała, że z chęcią zobaczyłaby odrobinę tłuszczu na brzuchu wytrenowanego pana Taggerta, gdy dobiegł ją odgłos lecącego helikoptera. Frank natychmiast poderwał się na równe nogi. Ku jej konsternacji otworzył drzwi ukryte w drewnianej ścianie i wyciągnął strzelbę.

- Nie ruszaj się z miejsca! - nakazał.
- W porządku - wyszeptała, czując się jak bohaterka westernu.

Kilka chwil później znalazł się z powrotem w chacie. Odłożył na miejsce broń, po czym podszedł do stołu.

- Śniadanie gotowe?

Zorientowała się, o co pyta, jedynie po ruchu jego warg, bowiem huk rotorów helikoptera był teraz wprost oguszający. Być może pana Taggerta nie interesowało, co się dzieje na zewnątrz, Randy jednak zżerała ciekawość. Szybko nałożyła mu na talerz naleśniki z bitą śmietaną i poziomkami, wlała kawę do filiżanki i wybiegła na zewnątrz.

Helikopter wisiał dokładnie nad jej głową. Na ziemi leżały już dwie podręczne torby, a teraz spuszczał się na linie wysoki blondyn w ciemnym garniturze i z dyplomatką w dłoni. Randy nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok uosobienia waźniaka z Wall Street powoli spływającego na ziemię na tle wysokich drzew i ostrych szczytów gór. Kiedy znalazł się bliżej niej, zaczęła się otwarcie śmiać, bo okazało się, że oprócz tego, że trzymał w ręku dyplomatkę i linę, próbował jeszcze jeść jabłko.

Wylądował tuż przed nią. Był bardzo przystojny: blondyn o jasnej cerze i niebieskich oczach, rzucających wesołe ogniki. Trzymając w zębach jabłko, pokazał ręką pilotowi, że może odlecieć. W tym samym momencie Randy zobaczyła, że teczka została przy-mocowana do jego nadgarstka stalowymi kajdankami.

- Miałby pan ochotę na śniadanie? - spytała uśmiechniętego przybysza.

- Wprost umieram z głodu.

Patrzył na nią w taki sposób, że od razu poczuła się dużo lepiej. Szybko odwzajemniła jego uśmiech.

- Jest tu pani z Frankiem?

- Nie z Frankiem. Zostałam zatrudniona w charakterze jego pielęgniarki, ale okazało się, że to dowcip. Jestem tu tylko do czasu... Zaraz, zaraz... Przecież mogłam odlecieć tym helikopterem!

Oslaniając dłonią oczy od słońca, spoglądała na maszynę, która znikwała za horyzontem. A potem znów skierowała spojrzenie na nowo przybyłego.

- Mike. Czy może Kane?

- Słucham? - spytała zdezorientowana.

- Jeżeli ktoś wyciął Frankowi jakiś numer, to albo Mike, albo Kane. - Kiedy się nie odezwała, znów uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niej rękę. - Julian Wales. Asystent Franka. A raczej wyjątkowo hojnie opłacany chłopiec na posyłki. A pani?

Pozwoliła, by przytrzymał jej rękę w swej ciepłej dłoni dłużej niż to konieczne.

- Miranda Stowe. Randy. Jestem pielęgniarką, ale tutaj głównie pełnię funkcję kucharki.

Posłał jej takie spojrzenie, że aż się zarumieniła.

- Jeżeli któregoś dnia legnę złożony niemocą, natychmiast panią zatrudnię.

Zapewne powinna mu w tym momencie powiedzieć, że nie jest tego rodzaju kobietą, ale, prawdę powiedziawszy, jego adoracja sprawiała Randy wielką przyjemność. Wczoraj propozycja małżeńska, dzisiaj uroczy flirt - całkiem nieźle jak na kobietę w jej wieku.

W końcu udało jej się wyswobodzić dłoń z uścisku.

- Pan Taggart jest w środku. A ja smażę naleśniki z poziomkami na śniadanie.

- Wspaniała kobieta, która na dodatek potrafi gotować. Czy przypadkiem nie zechciałaby pani zostać moją żoną?

Czując się jak osiemnastolatka, wybuchnęła śmiechem.

- Już pan Taggart złożył mi taką samą propozycję. - Kiedy zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno, zdjęło ją przerażenie. - To znaczy...

Nie miała pojęcia, jak powinna teraz zareagować, szybko więc okręciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi, tymczasem Julian wpatrywał się w nią okrągłymi ze zdumienia oczami.

Frank nie pofatygował się, by go powitać, ale Julian już dawno temu się nauczył, że nie powinien oczekiwać podobnych uprzejmości. Frank okazywał swą wdzięczność za lata poświęceń Juliana, wypłacając mu co miesiąc sześciocyfrową pensję.

Nie zamieniwszy ani słowa z szefem, Julian uwolnił się od dyplomatki, otworzył ją i podał Frankowi.

- Przykro mi, ale wydałem dyspozycję, żeby helikopter przyleciał po mnie dopiero za dwa dni - oznajmił. - Chciałem trochę powędkować. Nie wiedziałem, że masz gościa. Jeżeli miałbym wam przeszkadzać, natychmiast wrócę do Denver.

Zatopiony po uszy w papierach, Frank nawet nie podniósł oczu.

- Możesz spać na kanapie.

- Dziękuję, sir - odparł Julian, mrugając wesoło do Randy, która właśnie nakładała mu wielką porcję naleśników.

- A czy ty już jadłaś, Randy? - Kiedy pokręciła przecząco głową, powiedział: - Może więc zjesz razem ze mną na dworze? W tak piękny poranek szkoda marnować czas na siedzenie w domu.

Chwyciła za talerz i z radosnym uśmiechem wyszła razem z nim przed chatę. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Frank spogląda za nimi zamyślonym wzrokiem.

- Zamknę drzwi, żebyśmy ci nie przeszkadzali - oznajmiła, a kiedy gniewnie ściągnął brwi, ogarnęła ją niezrozumiała fala wesołości.

Julian położył talerz na pniaku, po czym zdjął krawat i marynarkę.

- Alleluja! - wykrzyknął, rozpinając kołnierzyk koszuli. - Całe dwa dni wolności!

Chwycił talerz w rękę, sam usiadł na pniu, po czym spojrzał znacząco na Randy.

- Z powodzeniem zmieścimy się tu we dwoje.

Może nie należało tego robić, usiadła jednak obok Juliana, rozkoszując się bijącym od niego ciepłem.

- Czy Frank naprawdę poprosił cię o rękę?

Niewiele brakowało, a Randy by się zakrztusiła.

- Nie powinnam była tego mówić. Czasami zupełnie nie umiem trzymać języka za zębami. To nie była poważna propozycja, a coś w rodzaju szczególnej umowy.

Julian znacząco uniósł brew.

- Doskonale rozumiem, co by dzięki temu zyskał. Zupełnie jednak nie pojmuję, jakie ty mogłabyś mieć korzyści. Poza finansowymi, oczywiście.

- Dzieci. On chciałby, żebym urodziła mu dzieci.

-

Słyszając to, Julian wybuchnął śmiechem.

- Czy to doprawdy słowa naszego starego, poczciwego Franka? Znasz go dobrze?

- Wcale. Wiem jedynie, że kiedy jestem obok niego, zaczynam kostnieć z zimna.

- Ach tak. Wiele ludzi ma podobne wrażenie, ale nie daj się zwieść. Frank jest równie impulsywny jak każdy facet.

- Może gdy chodzi o robienie pieniędzy. Ale jakoś nie mogę go sobie wyobrazić w roli kochanka roku.

- A więc już z nim spałaś?

- Nie! - wykrzyknęła z pełnymi ustami Randy. - Ależ skąd! Ja należę do tych kobiet, które najpierw chcą wyznać i róż, i... Na Boga, zaczynam opowiadać jakieś straszne brednie. Panie Wales, ja nie jestem bohaterką romansu, o którą walczy dwóch oszałamiająco przystojnych mężczyzn. Gwałtownie się starzeję, mam zdecydowaną nadwagę, samotnie wychowuję dziecko i widzę bez najmniejszych wątpliwości, że pański garnitur kosztował więcej, niż udało mi się zarobić w ubiegłym roku. Gdyby znalazła się tu jakakolwiek inna kobieta, żaden z was nawet nie rzuciłby na mnie okiem.

Julian uśmiechnął się ciepło.

- Randy, wiesz jaka jesteś? Ciepła i szczerą. Wiem to od chwili, gdy cię ujrzałem. Zazwyczaj kobiety kręcące się wokół Franka są tak nieskazitelnie piękne, że wyglądają jak fabryczne modele. Dla nikogo jednak nie ulega wątpliwości, że gdyby nagle stracił swoją fortunę, nawet nie zaszczyliłyby go spojrzeniem.

- Ależ, panie Wales...

- Julianie.

- Julianie. Ja jestem bardzo przeciętną kobietą.

- Doprawdy? - Wepchnął do ust potężny kęs naleśnika. - Czy byłaś kiedyś mężatką?

Skinęła głową.

- A czy przy okazji rozwodu puściłaś swojego męża z torbami? - Nawet nie czekał na odpowiedź. - Oczywiście, że nie. Jestem przekonany, że powiedziałaś, iż świetnie „rozumiesz”, czemu musi dać nogę z jakąś pustogłową lalką Barbie.

Wbiła spojrzenie w zimnego naleśnika.

- Odnoszę wrażenie, że wyjątkowo dobrze znasz się na ludziach.

- Za to właśnie Frank mi płaci. Mam patrzeć wszystkim w oczy i trzymać od niego z daleka wszelkich kanciarzy i nieudaczników.

Niemal w tym samym momencie drzwi chaty otworzyły się z trzaskiem i w progu pojawił się Frank, trzymając wędkę w dłoni.

- Wiesz, Julianie, ja też mam ochotę połowić. Idziemy?

Randy zerwała się na równe nogi.

- Julian powinien się najpierw przebrać. Poza tym muszę zapakować wam coś na lunch. Nie możecie wyruszyć bez jedzenia.

- Pójdiesz ze mną i przyrządzisz nam świeżą rybę. Julianie przebierzesz się i dogonisz nas - zarządził Frank, po czym ruszył przed siebie wąską ścieżką.

Randy nie miała zamiaru podporządkować się podobnym rozkazom, poszła więc w stronę chaty. Przekraczając próg, wiedziała już jednak, że nie pozbawi się możliwości spędzenia uroczego dnia na świeżym powietrzu tylko dlatego, by utrzcę nosa Frankowi Taggertowi.

Tymczasem Julian stał jak wryty i z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w plecy swego szefa. Pracował dla Taggerta od ponad dziesięciu lat i chociaż w ciągu tego czasu miliarder nic mu o sobie nie opowiadał - tak jak nie opowiadał o sobie żadnemu innemu człowiekowi to Julian szybko się zorientował, co w trawie piszczy. Ostateczni przez te wszystkie lata wyjątkowo dobrze poznał swojego chlebodawcę

- On się w niej zakochał - wyszeptał do samego siebie. - Na wszystko, co święte, zupełnie stracił dla niej głowę. Tylko szalone uczucie mogło sprawić, by Frank Taggert oderwał się od ważnych dokumentów i wybrał się na ryby.

Przez chwilę Wales nie odrywał spojrzenia od oddalającego się szefa. Frank tak niewiele wiedział na temat kobiet, że - oczywiście - zupełnie zawałił tę sprawę. Podobnie jak zawałił każdy inny związek. Julian musiał przyznać, że do tej pory Frank nigdy nie uznał, że jakakolwiek kobieta była warta przełożenia biznesowego spotkania czy choćby przesunięcia rozmowy telefonicznej dotyczącej interesów. Na dodatek to właśnie on, Julian, zawsze musiał oznajmiać każdej z nich, że już nie cieszy się względami szefa. To w jego kierunku leciały wszelkie wyroby ceramiczne oraz gwałtowne przekleństwa wykrzykiwane co najmniej w czterech językach.

Właśnie ten aspekt pracy zaczynał go coraz bardziej męczyć i kazał coraz częściej się zastanawiać, czy przypadkiem życie nie ma mu czegoś więcej do zaoferowania poza wypełnianiem zachcianek Franka Taggerta.

W końcu odwrócił się i spojrzał w stronę chaty, gdzie Randy pakowała jedzenie i różne naczynia do plecaka. A więc Frank poprosił tę kobietę o rękę! Znając go, powiedział to tak, jakby



prezentował nowe plany inwestycyjne na zebraniu zarządu. Bez emocji, bez zaangażowania, bez obietnicy dozogonnej miłości. Zapewne coś w stylu: „Mam dla ciebie pewną propozycję. Wyjdiesz za mnie?”.

Julian chwycił jedną ze swoich podręcznych toreb i tam, gdzie stał, zaczął się przebierać w dżinsy i sweter, cały czas jednak rozmyślając o szefie. Nikt nie znał Franka Taggerta tak dobrze, jak on. Wielu ludzi, podobnie jak Randy, uważało go za człowieka pozbawionego serca, Wales jednak doskonale wiedział, że to nieprawda. Frank po prostu do przesady się kontrolował, był za to niesłychanie lojalny. Kiedy Julian leżał ranny po wypadku samochodowym, to Frank ściągnął do niego lekarzy z Londynu i Nowego Jorku. Kiedy mąż pani Silen próbował odebrać jej dzieci, to Frank włączył się po cichu do sprawy i wpłynął na decyzję sądu. Szef wyjątkowo często pomagał innym ludziom, tylko że nie życzył sobie, by ktokolwiek o tym wiedział. Chciał zachować przed światem wizerunek bezlitosnego negocjatora.

W stosunku do swoich pracowników i krewnych był zawsze sprawiedliwy. Może zimny, ale wyjątkowo szlachetny. Za to gdy chodziło o kobiety, wydawał się całkowicie pozbawiony ludzkich uczuć.

Jednak dwa lata temu coś odmieniło Franka, choć Julian nie miał pojęcia, co się stało. A teraz jego wypadek jeszcze bardziej pogłębił ową przemianę. Frank grał w piłkę ręczną równie zagorzale i zajadle, jak prowadził swoje interesy. W czasie meczu wpadł z całym impetem na ścianę, uderzając w nią prawym ramieniem. To było paskudne złamanie - spędził dwie godziny na sali operacyjnej. Następnego dnia Julian odwiedził go w szpitalu wraz z innymi członkami rodziny Taggertów. To byli niezwykle sympatycznie ludzie, radośni i ciepły, całkowite przeciwieństwo Franka, zawsze zachowującego chłodny dystans do świata. Wtedy, w szpitalnej izolatce, podkpiwali z niego bezlitośnie, żartując, że jednak okazał się człowiekiem z krwi i kości.

O ile Julianowi było wiadomo, Frank ani razu nie skrzywił się z bólu, coś jednak musiało nim wstrząsnąć, kilka dni później odwołał bowiem wszystkie ważne spotkania i oznajmił, że jedzie do chaty w Górach Skalistych i nikomu nie wolno mu przeszkadzać. Julian nie ośmielił się zapytać, dlaczego podjął taką decyzję, ale zrobił to jeden z braci szefa i wówczas usłyszał, że Frank ma wiele spraw do przemyślenia.

## 9

Randy nigdy jeszcze nie bawiła się tak świetnie, jak teraz, gdy łowiła ryby z Julianem. Wszystko, co robił czy mówił, wydawało się jej niezwykle zabawne. Flirtował z nią przez cały czas i obejmował

ją, pokazując, jak nabić przynętę na haczyk. Przy nim chichotała i popiskiwała, jakby znowu była nastolatką.

Przez cały czas jednak spoglądała spod oka na Franka, który stał w pewnym oddaleniu od nich, cały czas zachowując milczenie i tylko raz po raz wyciągał z wody kolejne ryby. Z ręką na temblaku, musiał wkładać w to wiele wysiłku i zapewne od czasu do czasu odczuwał ból, ale przez cały czas zachowywał kamienny wyraz twarzy.

- Zainteresowana? - zapytał Julian, gdy po raz tysięczny zerknęła w stronę Franka.

- Ależ skąd. Ja nie należę do kobiet, które zgadzają się na związek dla pieniędzy.

- Ach tak. A czego właściwie oczekujesz od mężczyzny? - zapytał, robiąc żartobliwie lubieżną minę.

- Wielkiej, głębokiej miłości. I niebываłej lojalności. - Uśmiechnęła się szeroko. - A oprócz tego dużego domu otoczonego drzewami owocowymi.

- Nie daj się zwieść pozorom. Frank to najlojalniejszy człowiek, jakiego znam. Kiedy już weźmie kogoś pod swoje skrzydła, będzie go ochraniać do końca życia.

Randy ponownie spojrzała na Taggerta. Był wysoki, barczysty, miał intrygujące, ciemne oczy, tyle że... Jakże niezwykle się zachowywał: jednego dnia prosił ją o rękę, a następnego całkowicie ignorował.

- Grosik za twoje myśli - odezwał się jej towarzysz.

- Właśnie doszłam do wniosku, że on nawet nie zauważa mojej obecności.

Julian roześmiał się na całe gardło.

- Frank wprost nienawidzi wędkowania. Jest tutaj tylko dlatego, by dopilnować, żebym cię nie tknął.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ale przecież wciąż łapie ryby. Musi to lubić, skoro doskonale mu to wychodzi.

- Frank jest dobry we wszystkim, co robi. Jedynie z kobietami nie idzie mu najlepiej.

Randy przez chwilę wpatrywała się w ostro rwący strumień, a potem chwyciła termos z kawą i podeszła do Franka.

- Dobrze się bawisz? - zapytała, gdy popijał gorący napój.

- Wspaniale. A ty?

- Znakomicie. Julian jest wprost cudowny. Zabawny, zadowolony z życia, wesoły. Łatwo zakochać się w kimś takim.

-

Nie spuszczała oka z twarzy Franka. Pomimo jego chłodu, coś ją w nim pociągało. Z drugiej strony, jakiej kobiety nie pociągałby mężczyzna, który poprosił o jej rękę? Powiedz coś, pomyślała. A jeszcze lepiej - pocałuj mnie.

Taggart jednak bez słowa oddał jej kubek i spojrzał na wodę.

- Julian to doskonały pracownik.

- Ze swoim urokiem, talentami i wyglądem, zapewne nie może się opędzić od kobiet.

Wiedziała, że przeciąga strunę, ale bardzo chciała zmusić tego mężczyznę do jakiejś reakcji i ujawnienia uczuć.

- Nie mam pojęcia o jego prywatnym życiu - odpowiedział Frank, lekko się od niej odwracając.

Przysunęła się bliżej.

- A ty? Czy w twoim życiu jest dużo kobiet? Jak wiele z nich prosiłeś o rękę?

- Tylko jedną - odrzekł cicho.

Randy żałowała, że wcześniej nie odgryzła sobie języka. Zachowała się niegrzecznie, nie bacząc na cudze uczucia. Wyciągnęła dłoń i położyła mu na ramieniu.

- Panie Taggart... Ja...

Urwała, widząc jego zimne spojrzenie.

- Co takiego? Chciałaś sobie ze mnie zakpić?

- Nie. W żadnym wypadku.

- Więc o co chodzi? Czego ode mnie chcesz?

- Nie... nie wiem.

Gwałtownie odwrócił się do niej plecami.

- Jak już się dowiesz, daj mi znać.

Zdezorientowana i zawstydzona, Randy okręciła się na pięcie i ruszyła ścieżką w stronę chaty. Julian próbował ją zatrzymać, ale powiedziała, że chce być sama. Podeszedł więc do Franka, który udawał, że pilnie łowi ryby, tyle że zapomniał założyć przynętę.

Julian na tyle dobrze znał swojego szefa, że dobrze wiedział, kiedy Frank jest zły - nawet, gdy tak jak teraz - zachowywał kamienną minę. Uznał więc, że lepiej zostawić go w spokoju i zabrał się do noszenia chrustu na ognisko. Może jeśli podgrzeje jedzenie przygotowane przez Randy, Frankowi poprawi się humor.

Godzinę później siedzieli we dwóch przy ogniu. Przez te wszystkie lata stosunki Juliana z szefem były czysto zawodowe, ale teraz zaczynało się to zmieniać.

Julian wziął głęboki oddech.

- Czy mówiłeś Randy, że się w niej zakochałeś?

Frank nie odpowiedział.

- Możesz oszukiwać resztę świata, ale mnie nie uda ci się zwieść. Kiedy się zorientowałeś, że tracisz dla niej głowę?

- Kiedy spostrzegłem, że mnie nie lubi - odrzekł po chwili Taggart.

- Frank, ciebie nie lubi wielu ludzi.

Miliarder uśmiechnął się sarkastycznie.

- Nie lubią tego, co sobą reprezentuję, lub faktu, że mam więcej pieniędzy od niech. To nie jest tak, że nie lubią mnie jako człowieka.

Julian wrzucił suchą szyszkę do ognia.

- Nie ludź się, Frank. Większość ludzi nie lubi cię właśnie jako człowieka. Przy tobie zamrażarka staje się kaloryferem.

- Kobiety tak nie sądzą.

- Prawda. Kiedy tylko na ciebie spojrzą, robią z siebie idiotki. Zawsze zastanawiałem się dlaczego.

- Pieniądze i władza są niezwykle seksowne. Poza tym moja technika w łóżku jest doskonała.

- Uczyłeś się tego w jakiejś specjalnej szkole?

- Jasne. Jakże inaczej... - Urwał gwałtownie.

- Randy jest inna, prawda?

Julian czekał na odpowiedź. Czy Frank zdecyduje się mówić o czymś tak osobistym?

- Jest moim całkowitym przeciwieństwem. Ciepła, czuła, umie okazywać uczucia. Jeżeli Miranda zakochałaby się w jakimś mężczyźnie, kochałaby go bezwarunkowo - w bogactwie i biedzie. Ogromnie potrzebuję takiego... poczucia bezpieczeństwa. Kobiety są zmienne w swoich uczuciach. Dziś cię kochają, ale jeśli zapomnisz o ich urodzinach, miłość od razu się kończy.

- Randy bardzo by się nie spodobało, gdyby mężczyzna zapomniał o jej urodzinach.

- Gdybym rzeczywiście zapomniał, to tydzień później zabrałbym ją do Paryża i natychmiast by mi wybaczyła.

- To prawda. Ale gdzie w twoim życiu jest miejsce dla kogoś takiego jak Randy? O ile dobrze pamiętam, twoja ostatnia wybranka miała doktorat z poezji chińskiej i mówiła biegle czterema językami.

- Była okropną nudziarą - rzucił Frank pogardliwym tonem. - Posłuchaj, coś się ze mną stało w ciągu ostatnich dwóch lat. Zaszła we mnie całkowita zmiana, gdy chodzi o uczucia. Wiem, wiele osób sądzi, że w ogóle nie mam serca, ale to nieprawda. Albo inaczej - może właśnie całkiem niedawno odkryłem, że jednak je mam. Ludzie pytają mnie, po co zarabiam pieniądze, a ja właściwie nie umiem

odpowiedzieć. Pewnie dlatego, że to wyzwanie i cel sam w sobie. Ty - jak mało kto - wiesz, że nie pragnę wielu dóbr. Nigdy nie marzyłem o jachcie, którego utrzymanie kosztuje sto tysięcy kawałków na dzień. Ja chcę jedynie...

- Zawsze wygrywać - wtrącił Julian gorzko. Może to zazdrość, ale niekiedy nie mógł już patrzeć, jak Frank wychodzi zwycięsko z każdej potyczki.

- Tak. Niewykluczone. Być może właśnie o to chodzi.

- A właściwie co takiego specjalnego wydarzyło się dwa lata temu?

- Poznałem pewnego dzieciaka. Chłopca imieniem Eli. Nagle poczułem się tak, jakbym spotkał samego siebie. To taki ambitny dzieciak, niezwykle spragniony sukcesu. - Frank zaśmiał się cicho. - Kradnie papier firmowy z różnych instytucji, a potem wysyła na nim listy do różnych ludzi.

- To niezgodne z prawem.

- Wiem, ale on to robi jedynie, by pomóc ludziom w potrzebie. Kiedy na niego patrzyłem, doszedłem do wniosku, że chciałbym mieć takiego syna. Wówczas po raz pierwszy w życiu zapragnąłem własnego dziecka.

- A więc w końcu złapałeś bakcyła Taggertów.

- Ach, tak. Moja płodna rodzina. Zdaje się, że przychodzą na świat w nieprzepartą potrzebą nieprzytomnego mnożenia się.

- Ale nie ty. Przynajmniej do tej pory. Do chwili, gdy poznałeś Randy.

- Tak. Randy. Prawdziwa kobieta z krwi i kości. Nie chcę, żeby matka moich dzieci była kimś innym niż właśnie matką.

- I twoją żoną, jak sądzę?

- Tak. Ja... - wziął głęboki oddech. - Kiedy to się stało - zerknął w stronę zagipsowanego ramienia - miałem dużo czasu na rozmyślanie. Gdybym nie złamał ręki, tylko skręcił kark, miliardy, które posiadam, nie tęskniłyby za mną. Nie płakałyby z żalu. Ale najgorsze było to, że kiedy wyszedłem ze szpitala, nie czekała na mnie ciepła, bliska istota, której mógłbym położyć głowę na kolanach i najzwyczajniej w świecie się wyplakać.

Julian z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Tak. Owego dnia strasznie chciało mi się płakać. A wiesz, co powiedziała mi specjalistka od chińskiej poezji? Pragnęła się dowiedzieć, czy ten straszny ból pobudzał mnie seksualnie!

- Musisz jej powiedzieć. Musisz powiedzieć Randy, co do niej czujesz! - zawołał Julian.

-

- A co mam jej powiedzieć? Że od dawna szukam kobiety takiej jak ona - cieplej, serdecznej, gotowej wsiąść na konia i przyjechać na kompletne odludzie, by się zająć niesprawnym człowiekiem? O ile mi wiadomo, nie zadawała żadnych pytań. Usłyszała, że jest potrzebna, więc przyjechała. Za śmiesznie małe pieniądze.

- Więc powiedz, że jej potrzebujesz.

- Nigdy w to nie uwierzy. Bo niby do czego miałyby mi być potrzebna? Zatrudniam profesjonalnych kucharzy, seks mogę znaleźć wszędzie, czego więc jeszcze mi trzeba?

- Wiesz, Frank, nie dziwię się, że tak wiele kobiet w końcu cię zniechęciło.

- Kobiety zaczynają mnie nienawidzić, kiedy nie chcę się z nimi ożenić i dopuścić do swego majątku.

- Ty naprawdę nie masz serca. - Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym Julian dodał: - Jeżeli jej nie powiesz, co czujesz, to ją stracisz.

- Julianie, czy wiesz, dlaczego doszedłem do takich pieniędzy? Bo mi na nich nie zależy. W gruncie rzeczy wcale mi nie zależy czy wygram, czy przegram. Natomiast gdy pojawia się jakiś kontrakt, na którym naprawdę mi zależy, natychmiast się z niego wycofuję. Kiedy człowiekowi na czymś zależy, nie może być bezwzględny i okrutny.

- Chcesz mi powiedzieć, że zbyt mocno pragniesz Randy, by o nią walczyć?

Frank popatrzył Julianowi w oczy i przez chwilę w jego spojrzeniu nie było ani odrobiny zwyczajnego chłodu. To, co Julian tam zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

- Jeżeli podjąłbym te próby i przegrał, nie umiałbym dalej żyć.

- Aż tak bardzo ci na niej zależy?

Na twarz Franka znów powróciła lodowata maska.

- Cóż, nie wiem, czemu mi na niej... zależy, ale rzeczywiście tak jest.

- I dlatego nie zrobisz nic, żeby ją zdobyć!

- Właśnie.

Julian milczał przez dłuższy czas.

- Bez względu na to, co myślisz, niektóre z tych kobiet szczerze cię kochały - powiedział w końcu. - Ciebie, nie twoje pieniądze. Ty jednak wszystkie rzucałeś. Może kiedy zaczynało ci na nich zależeć, ogarniał cię strach i uciekałeś. W każdym razie to ja zawsze musiałem ich wysłuchiwać, pocieszać je, uspokajając i znosić ich ataki szału, gdy w końcu postanawiałeś którąś zostawić.

-

Ale Randy nie należy do tego cyrku. Nie jest kobietą, wikłającą się w romanse z wieloma mężczyznami. To zwykła kobieta, której przypadłeś do serca. Może mówić, że cię nie lubi, ale widzę, jak na ciebie patrzy. Dziś robiłem, co mogłem, żeby zwrócić jej uwagę, ale tak naprawdę była zainteresowana tylko tobą. Jeśli choć odrobinę się postarasz, pokocha cię całym sercem. - Odwrócił się i spojrzał znacząco na swego pracodawcę. - Nie chcę kiedykolwiek w życiu tłumaczyć cię przed Randy. Nie chcę osuszać jej łez szmaragdami. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie mam już ochoty robić czegoś podobnego.

Julian czekał na jakąś reakcję szefa, a gdy się nie doczekał, wstał od ogniska.

- Frank, pracuję dla ciebie od dziesięciu lat. Zawsze cię podziwiałem i szanowałem, a niekiedy ci zazdrościłem. W tej chwili jednak czuję do ciebie tylko litość. I wiesz co, jestem już zmęczony tą bezduszną robotą. Zmęczony ciągłym sprzedawaniem, kupowaniem i brakiem prywatnego życia. Na ten weekend umówiłem się ze wspaniałą kobietą, ale zadzwoniłeś i musiałem przywieźć ci te dokumenty. Nie poprosiłeś mnie - po prostu wydałeś rozkaz. Zostawiłem więc jej wiadomość na automatycznej sekretarce i przyjechałem. Obawiam się, że ta kobieta już nigdy więcej nie będzie chciała ze mną rozmawiać.

- Płacę ci dostatecznie dużo, żebyś robił wszystko, co każe.

- Tak, rzeczywiście. Prawdę mówiąc, płacisz mi tak dobrze, że już więcej w życiu nie muszę pracować. Mogę wreszcie zacząć robić to, na co do tej pory nie miałem czasu. - Julian uśmiechnął się szeroko. - I chyba właśnie zacznę. W poniedziałek wręczone ci swoją rezygnację.

Przez chwilę włókł się noga za nogą, czekając aż szef przywoła go z powrotem, ale Frank nie odezwał się słowem, więc Julian przyspieszył kroku.

## 10

Kiedy Wales wszedł do chaty, Randy stała przy zlewku i energicznie ścierała na tarce marchewkę. Gdy tylko spojrzała na jego twarz, wiedziała że będzie lepiej, jeśli zachowa milczenie. Ku jej zdziwieniu podszedł do ściany z bali po lewej stronie kominka, nacisnął coś, co wydawało się dużym sękiem i nagle w ścianie otwo-



rzyły się drzwi. Wprost emanując gniewem, Julian stanowczym krokiem ruszył do znajdującego się za nimi pokoju.

Zaciekawiona, nie wypuszczając marchewki z dłoni, Randy podeszła i zerknęła do środka. W odróżnieniu od surowego, niemal prymitywnego wystroju chaty, to pomieszczenie było ultranowoczesne, wymalowane na biało. Wzdłuż trzech ścian stały stoły, a na nich komputer, faks, monitor wyświetlający dane giełdowe, telefon, a także kilka innych urządzeń, których nie umiała zidentyfikować.

Julian chwycił za mikrofon i przez radio polecił, by jak najszybciej przyleciał po niego helikopter.

- Zaczekaj chwilę - rzucił do kogoś po drugiej stronie, po czym zwrócił się w stronę Randy. - Chcesz wracać razem ze mną?

Położył lekki nacisk na słowo „razem”. Przez chwilę poczuła żywsze bicie serca. Pomimo złości w oczach Juliana dojrzała też szczere zainteresowanie. To jego flirtowanie nie było więc tylko zabawą. Naprawdę spodobała się temu wyjątkowo przystojnemu mężczyźnie.

Coś jednak kazało jej odmówić.

- Nie. Zostanę - wyszeptła, zupełnie nie rozumiejąc, czemu podjęła taką decyzję.

- Jesteś pewna?

Randy skinęła głową.

Kilka minut później Julian wpychał swoje rzeczy do torby.

- Zdajesz sobie sprawę, że on nie jest cię wart? Wiesz o tym, prawda? Powinnaś usłyszeć, co przed chwilą powiedział. Oświadczył...

- Nie! - przerwała mu ostro. - Nie chcę wiedzieć, co zaszło między wami. To tylko wasza sprawa. Frank ma rękę w gipsie. Potrzebuje mojej pomocy.

- Nie potrzebuje. Jemu nikt nie jest potrzebny. Kiedyś myślałem inaczej, ale... - urwał gwałtownie. - W gruncie rzeczy nie chodzi o niego, tylko o mnie. To ja czegoś potrzebuję. A ściślej rzecz ujmując, potrzebuję własnego życia. - Zatrzymał się na chwilę w progu chaty.

- Nie pozwól, żeby złamał ci serce. Wiele kobiet próbowało stopić jego serce z lodu, ale im się nie udało. On...- Julian znowu urwał. - Słuchaj, mój wyjazd nie ma nic wspólnego z tobą. To sprawa między mną a Frankiem. On jest w tobie zakochany.

- Co takiego?! Wiem, że...

- Jest w tobie zakochany. I właśnie dlatego nigdy nie spróbuje cię zdobyć. Nie oczekuj od niego żadnego uczucia. Możesz spodziewać się pieniędzy, ale absolutnie niczego więcej.

-

- Przecież... - W głowie Randy kłębiło się tysiąc myśli naraz.  
- Już i tak powiedziałem zbyt wiele. Uważaj na siebie - rzucił na pożegnanie i zniknął za drzwiami.

Kiedy Randy znalazła się sama w chacie, opadła na paskudną sofę.

- Na Boga - westchnęła głośno. - Tyle lat nic się nie działo w moim życiu, a tu nagle w ciągu dwóch dni wydarzeń na parę powieści.

Godzinę później wrócił Frank i na jej widok jakby lekko drgnął ze zdziwienia.

- Dlaczego nie wyjechałaś z Julianem?

Prawdę powiedziawszy, nie miała pojęcia.

- Muszę zapracować na wykształcenie syna.

- Ach, tak. Oczywiście.

To nie był prawdziwy powód, dla którego została, bo przecież nie wzięłaby od kogoś wielu tysięcy dolarów za tydzień pracy; ale rzecz w tym, że nie umiałyby wyjaśnić, czemu została.

- Czy chciałbyś, żebym wyjechała? - zapytała, napinając całe ciało.

- Chciałbym... Chciałbym, żebyś zrobiła to, na co naprawdę masz ochotę.

Miała nadzieję, że usłyszy inną odpowiedź. Czy Julian przypadkiem nie kłamał, kiedy mówił, że Frank jest w niej zakochany? Z drugiej strony, skoro ona go nie kochała, to przecież nie miało żadnego znaczenia. Kiedy jednak spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich dziwny wyraz i nagle odniosła wrażenie, że Frank czuje się bardzo samotny, może nawet tak samo, jak ona, gdy myślała o wyjeździe Eliego na studia.

- Zjadłbyś coś? - spytała, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

- Utuczysz mnie - odrzekł z lekkim uśmiechem.

- Nie zaszkodziłoby ci trochę tłuszczu. Chętnie podzielę się z tobą swoim.

Spojrzał na nią z figlarnym błyskiem w oku.

- Wolałbym, żebyś go nigdzie nie traciła. Znajduje się akurat tam, gdzie powinien.

Zarumieniła się i zaczęła nakładać jedzenie na talerze, a kiedy odwróciła się w stronę stołu, ujrzała że Frank siedzi z nosem w papierach, które przywiózł mu Julian.

Przez cały posiłek nie odezwał się ani słowem. Jakby ta drobna wymiana żartobliwych zdań coś w nim zgasiła, milczał bowiem już do końca wieczoru. Kiedy wyszedł na podwórze, by przynieść kłody do kominka, Randy zaproponowała, że mu pomoże - widziała, że

noszenie drewna przychodzi mu z trudem i wywołuje w złamanej ręce ból - ale odmówił, mówiąc że nie potrzebuje żadnej pomocy.

Przeklinając w duchu, że nie wyjechała z Julianem, wzięła więc kąpiel i położyła się do łóżka.

- Nie ma sensu zawracać sobie nim głowy - wymamrotała pod nosem i niemal natychmiast zasnęła.

Obudził ją rozzdzierający uszy huk gromu. Usiadła gwałtownie na łóżku i w tym samym momencie chatę rozświetliła błyskawica. Randy mimowolnie krzyknęła ze strachu. Jeszcze nigdy nie widziała tak potężnej burzy.

Frank natychmiast znalazł się u jej boku. Nie dotykał jej, tylko przysiadł na brzegu łóżka, gdy jednak po raz kolejny rozbłysła błyskawica, Randy rzuciła mu się w ramiona.

Już nie pamiętała, jakie to wspaniałe uczucie być obejmowaną przez mężczyznę. Przytulił ją do swego twardego, umięśnionego ciała i zanim zdolała się zorientować, co się dzieje, zaczął ją całować.

Nie były to pocałunki zimnego, pozbawionego namiętności mężczyzny i w tym momencie Randy uwierzyła w słowa Juliana.

Chwilę później Frank wodził ustami po jej szyi. Chatę raz po raz rozświetlały błyskawice, a grzmoty przewalały się tak blisko, że zdawały się eksplodować wewnątrz ich ciał.

- Tak - wyszeptła mu do ucha, gdy objął dłonią jej pierś. - Tak. Kochaj się ze mną, proszę.

Delikatnie ujął twarz Randy w dłonie i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nie mam żadnego zabezpieczenia.

Wstrzymała oddech. Szybko jednak doszła do wniosku, że Frank na pewno nie cierpi na AIDS ani żadną inną zakaźną chorobę.

- Nie mam nic przeciwko ewentualnym konsekwencjom - odparła, myśląc, jak bardzo chciałyby mieć jeszcze jedno dziecko i ponownie poczuć w sobie rozwijające się życie.

- To wspaniałe - szepnął, przyciskając ją mocno do siebie.

W miłości był równie gorący, jak zimny w codziennym życiu. Nawet nie spostrzegła, kiedy ją rozebrał i zaczął pieścić ze szczerym pożądaniem w oczach tak, jakby znał każdy skrawek jej ciała i na zawsze chciał zachować w pamięci jej kształty.

Seks nigdy nie był dla Randy równie wspaniały, jak teraz z Frankiem. Nieomylnie wyczuwał, co sprawia jej przyjemność, nieoczekiwanie dla niej samej odkrywał nowe wrażliwe punkty jej ciała, przyprowadzając ją o dreszcz rozkoszy.

W pewnej chwili wydawało jej się, że wyszeptał „kocham cię”. ale nie była tego pewna, bo zbyt pochłaniały ją wzajemne pieśczoły. Leslie wolał szybki seks i zawsze sprawiał wrażenie, iż nie może się już doczekać, żeby zająć się czymś innym. A raczej jakąś inną, jak nieraz myślała Randy.

Tymczasem Frank zachowywał się tak, jakby przed nimi było całe życie. Kiedy w końcu w nią wszedł, miała ochotę krzyczeć. Cudownie ją wypełniał, a gdy zaczął się lekko poruszać, miała wrażenie, że zaraz umrze z rozkoszy.

Później, wciąż jeszcze drząc na całym ciele, Randy wtuliła się w niego i zasnęła, przepelniona poczuciem bezpieczeństwa.

Gdy obudziła się następnego dnia, po świetle wpadającym do chaty poznała, że minęło południe. Franka nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Pomyślała, że może jest przed domem, lecz tam też go nie znalazła. Nie zostawił żadnego listu, żadnej wiadomości. Tylko niezasłane łóżko świadczyło o tym, że w ogóle był tu poprzedniej nocy.

Godzinę później pojawił się Sandy z osiodłanymi końmi i oznajmił, że dostał polecenie, by zabrać ją do domu.

## 11

W pozostałych pomieszczeniach biurowych korporacji Montgomery-Taggart wprost się roiło od bożonarodzeniowych ozdób, a zewsząd dobiegały wybuchy śmiechów i pobrząkiwania kieliszków. Właśnie odbywało się doroczne przyjęcie świąteczne dla pracowników. Tylko w gabinecie Franka nie było żadnych ozdób ani nie paliły się świąteczne lampki. Taggart siedział tu samotnie i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w papiery rozłożone na biurku.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy schudł i dorobił się sińców pod oczami. Nie miał też ostatnio serca do interesów - jakby nagle stracił swój szczególny instyngt.

- Cześć! - Usłyszał pełen wahania głos.

Podniósł oczy i w drzwiach ujrzał Eliego. Nie widział go od dwóch lat, od czasu pierwszego spotkania. Ich przyjaźń rozwijała się jedynie korespondencyjnie. Eli pisał do niego do biura, Frank zaś wysyłał listy do chłopca na adres skrzynki pocztowej w Denver.

- Eli! - wykrzyknął Taggart i uśmiechnął się pierwszy raz od wielu tygodni. - Chodź do mnie - powiedział, wyciągając ramiona.

Chłopiec zamknął za sobą drzwi, odcinając ich od gwaru przyjęcia, po czym okrążył biurko i stanął naprzeciw swego przyjaciela.

- Twój wygląd jest równie fatalny, jak moje samopoczucie - odezwał się Frank. - Pewnie jesteś już zbyt duży, by siadać komuś na kolanach, co?

Eli szybciej by umarł, niż przyznał się do tego, że jego bunt był w dużej mierze wynikiem samoobrony - i codziennego wmawiania sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie potrzebuje ojca.

- Nie. Wcale nie jestem za duży.

Rzucił się w ramiona Franka, a potem usiadł mu na kolanach jak kilkuletni brzdąc. Chociaż znacznie urósł od ostatniego spotkania, Frank wciąż jeszcze był od niego dużo wyższy.

Ku własnemu przerażeniu, Eli zaczął nagle płakać. Taggert nie odzywał się ani słowem - po prostu przytulał go, póki nie przestał szlochać, a potem podał mu chusteczkę.

- Chcesz pogadać o swoich problemach?

- Moja mama będzie miała dziecko.

- Nie wiedziałem, że powtórnie wyszła za męża.

- Bo nie wyszła.

- Och, to rzeczywiście pewien kłopot. Potrzebujecie pieniędzy?

- Jak zwykle. Ale nie w tym rzecz. Mama wymaga opieki. Męskiego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć. Jeżeli nikt się nią nie zajmie, nigdy nie będę mógł wyjechać na studia.

- Podaj mi tylko kwotę, a natychmiast...

- Nie! - wykrzyknął Eli. - Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy!

- W porządku. - Frank przycisnął głowę chłopca do swego ramienia. - Jak więc mógłbym pomóc?

Eli milczał przez dłuższą chwilę.

- Czemu nie pisałeś do mnie od dwóch miesięcy?

- Obawiam się, że byś tego nie pojął.

- Dorośli zawsze tak mówią. Myślą, że dzieci są zbyt głupie, żeby mogły ich zrozumieć. Moja mama na przykład sądzi, że nigdy nie zrozumie, czemu nie została żoną ojca swojego dziecka.

- Masz rację. My, dorośli, często stawiamy dzieci przed faktami dokonanymi, a potem błędnie zakładamy, że one i tak nie zdołają pojąć naszej motywacji. Może dzieje się tak dlatego, że próbujemy was osłaniać. - Frank wziął głęboki oddech. - Słuchaj, zrobiłem coś bardzo głupiego. Zakochałem się. Nie. Nie patrz na mnie w ten sposób. Zakochanie się nie jest czymś złym, ja jednak przestraszyłem się i uciekłem.

-

- Ale dlaczego? I czego właściwie się bałeś? Ja bardzo Kocham moją mamę, a przecież nigdy bym od niej nie uciekł.

- To nie to samo, co miłość do matki. Gdy Kochasz kobietę, stajesz przed określonymi wyborami. - Przyciągnął Elię bliżej do siebie. - Nie bardzo wiem, jak ci to wyjaśnić. Przez całe swoje dorosłe życie nigdy nikogo nie potrzebowałem. Może dlatego, że otaczało mnie tak wiele osób. Wychowywałem się w bardzo licznej rodzinie i od młodych lat ciążyło na mnie wiele obowiązków. A może po prostu chciałem być inny niż wszyscy wokół. Czy możesz to zrozumieć?

- Pewnie. Ja też się różnię od innych dzieciaków.

- Obaj jesteśmy niezłymi dziwadłami, co?

- A co z tą kobietą? - Eli powrócił do tematu. - Czemu ją zostawiłeś?

- Zakochałem się w niej. Wiem, że to brzmi głupio i wydaje się bezsensowne. Rzecz w tym, że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Choć na początku wydawało się, że jest kimś innym niż w rzeczywistości, szybko się przekonałem, że to ciepła, delikatna kobieta. - Uśmiechnął się łobuzersko. - No, może nie taka znów delikatna.

A wiesz, co podobało mi się w niej najbardziej? - podjął po chwili. - Wydawała opinie o mnie na podstawie mojego zachowania, a nie stanu konta czy wyglądu. Powiedziała wprost, że mnie nie lubi i nie ma ochoty przebywać w moim towarzystwie. Nawet próbowała uciec z mojej chaty i znaleźć drogę do Denver.

- I, oczywiście, wykazała się kompletnym brakiem wyczucia kierunku.

Frank spojrział na niego ze zdumieniem.

- Skąd wiesz?

- Bo moja mama też nie ma go za grosz. Podobnie jak Chelsea - szybko odrzekł Eli.

- Lepiej nie wygłaszać podobnie ogólnikowych sądów o kobietach w ich towarzystwie. Ale wracając do tematu, kiedy już ją dogoniłem, zaproponowałem, żeby dla mnie gotowała, oferując sowitą zapłatę za jej usługi. I wiesz, o co poprosiła?

- O pomoc dla kogoś innego.

- Właśnie. Skąd wiedziałeś?

- A o co poprosiła? - zainteresował się Eli, ignorując pytanie Franka.

- O opłacenie studiów jej syna, od pierwszego roku aż po studium doktoranckie.

- Tak - powiedział Eli miękko. - To typowe. No i co dalej?

-

- My... hm... jakiś czas potem...

- Przez ostatnie dwa miesiące dowiedziałem się wiele na temat tego, skąd się biorą dzieci - oznajmił Eli tonem dorosłego, znużonego życiem człowieka. - A co potem?

- Zostawiłem ją samą w chacie. Przez radiotelefon ściągnąłem helikopter, żeby mnie stamtąd zabrał, po czym wydałem dyspozycje, by odtransportowano ją konno do domu.

Eli poczuł, że cały sztywnieje.

- A więc tak po prostu wyjechałeś i ją porzuciłeś! A ona... czy była w tobie zakochana?

- Nie mam pojęcia. Po wspólnie spędzonej nocy kochałem ją jeszcze mocniej niż przedtem, a to przeraziło mnie tak bardzo, że uciekłem. Może po prostu potrzebowałem czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- To znaczy co?

- Czy rzeczywiście chciałbym z nią być. To osoba, która błyskawicznie dostrzega sedno każdego problemu. Powiedziała mi, że nie jest biedna, tylko po prostu nie ma zbyt wiele pieniędzy - wskazując na znaczną różnicę tych pojęć.

- Moja mama twierdzi to samo.

- Bo jest mądra. Bardzo mądra, jeżeli wychowała takiego syna.

- A co zamierzasz teraz zrobić? To znaczy, w sprawie tej kobiety.

- Nic. Bo i cóż mógłbym zrobić? Ona już zapewne całkiem o mnie zapomniała.

Eli z powagą spojrzał Frankowi w oczy.

- Osobiście bardzo w to wątpię - oświadczył. - A co, jeśli z tęsknoty za tobą płacze po nocach, tak jak moja mama z tęsknoty za ojcem jej dziecka?

Frank sceptycznie uniół brew.

- Nie sędzę. Wiesz, co mówią stare porzekadła o odrzuconych kobietach. Już dawno temu się przekonałem, że jeśli z jakiegoś powodu odepchniesz kobietę, nigdy ci tego nie wybaczy. Nawet gdyby mówiła coś innego, to wcześniej czy później weźmie odwet.

- A jeżeli ona nie jest taka jak inne? Jeżeli naprawdę cię kocha i zrozumiałaby, że po prostu obleciał cię tchórz?

- Z każdym twoim słowem czuję się coraz gorzej. W porządku, może rzeczywiście obleciał mnie strach. Może więc powinienem ją odszukać. Nawet próbowałem wyciągnąć coś od mojego brata, Mike, ale zaparł się i nie chce puścić pary z ust. - Frank z trudem przełknął ślinę. - A po tym, co usłyszałem od jego żony, żałuję że nie wykazała się małomównością swego męża.

- A co ty byś zrobił? Co byś zrobił, gdybyś ją odnalazł? - naciśkał Eli.

Frank wykrzywił usta.

- Niekiedy myślę, że padłbym na kolana i wyznał jej dozgonną miłość, choć prawdę mówiąc, zupełnie nie umiem sobie wyobrazić podobnej sytuacji. Tym bardziej że już raz poprosiłem ją o rękę, ale mi odmówiła.

- Co takiego?! Poprosiłeś ją, żeby za ciebie wyszła?!

- Owszem. - Frank odsunął się nieco, by spojrzeć Eliemu w oczy.

- A właściwie, czemu tak bardzo cię to interesuje?

- Z powodu mojej mamy. Bardzo bym chciał, żeby wyszła za ojca swojego dziecka.

- O ile jest dobrym człowiekiem...

- Jest bardzo dobry. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- To chyba nie twój ojciec?

- Skąd! - Eli niemal wrzasnął na całe gardło. - W żadnym razie - odparł już spokojniejszym tonem. - Tyle że... - Urwał gwałtownie, nie wiedząc, co właściwie mógłby powiedzieć.

- No, dobrze, zmieńmy temat - zarządził Frank. - Co chciałbyś dostać na Gwiazdkę? Jakiś sprzęt komputerowy?

- Nie - odrzekł Eli zdecydowanym tonem. - Ostatnio niewiele się tym zajmuję. Być może po gimnazjum będę musiał iść do pracy, żeby pomóc w utrzymaniu dziecka.

- Po moim trupie! - zachnął się Frank. - Wystawię na twoje nazwisko czek, który pokryje wasze wydatki na najbliższe kilka lat. Już mam po dziurki w nosie tej twojej głupiej dumy!

Eli wiedział, że powinien stanowczo odmówić, ale nie był w stanie.

- Frank, czy mogę mieć do ciebie prośbę?

- Zrobię, co tylko zechcesz. Miałbyś może ochotę pojechać z mamą na egzotyczną wycieczkę?

- Nie. Ale rzeczywiście chciałbym, żebyś zrobił coś dla mojej mamy. Czy umiesz jeździć konno?

- Tak się składa, że nawet bardzo dobrze.

- A czy masz czarnego konia? Potężnego, czarnego ogiera?

- Myślę, że bez trudu mógłbym znaleźć podobne zwierzę. Choć, prawdę powiedziawszy, nie przyszłoby mi do głowy, że lubisz konie.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Kiedy ostatnim razem moja mama płaciła rachunki, oświadczyła że najwyższy czas, byśmy spojrzeli prawdzie w oczy, bo żaden przystojniak nie podjedzie pod nasze





drzwi na czarnym rumaku i nie rozwiąże za nas naszych problemów. Najwyższy czas, abyśmy sami znaleźli jakiś sposób, by wyżyć z tego, co mamy.

- A więc chciałbyś, żebym podjechał pod wasz dom na czarnym koniu i wręczył twojej mamie czek na odpowiednią sumę?

- Raczej gotówkę. Miałaby zbyt wiele skrupułów, by zrealizować czek.

Frank roześmiał się na całe gardło.

- Czarny rumak? I zapewne chciałbyś, żebym zrobił to jutro w dniu Bożego Narodzenia?

- Czy masz jakieś zobowiązania rodzinne w tym dniu?

- Jestem przekonany, że nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności. - Przez moment przytulał Eliego w milczeniu, jakby coś pilnie rozważał. - No dobrze. Zrobię to, o co mnie prosisz. Czy ja też mam się ubrać na czarno?

- Tak. Myślę, że to wyjątkowo spodoba się mojej mamie.

- W porządku. A więc zobaczymy się jutro o dziesiątej rano. A teraz, gdy już mamy poza sobą interesy, czy powiesz mi wreszcie, co chciałbyś dostać na urodziny?

- Hasło do banku danych korporacji Montgomery-Taggart.

Słyszając to, Frank wybuchnął gromkim śmiechem.

- No dobra. Chodźmy coś zjeść. Wiedz jednak, że zanim podam ci to hasło, będę cię musiał adoptować, a odnoszę wrażenie, że twojej mamie nie spodobałby się taki pomysł. - Wyprowadzając Eliego z biura, Frank dodał: - Jeżeli tylko zechcesz, natychmiast zatrudnię paru prywatnych detektywów, by odnaleźli ojca dziecka twojej mamy. Bez problemu mógłbym odliczyć sobie te wydatki od podstawy podatkowej.

- Może pewnego dnia cię o to poproszę - odrzekł Eli. - Dam ci znać w tej sprawie tuż po Bożym Narodzeniu.

## 12

- Eli! - wykrzyknęła zdesperowana Randy. - Czemu wprowadzasz tak nerwową atmosferę?

Od wczesnego ranka - od chwili, gdy zajęła się sosem żurawinowym i plackiem z dyni - jej syn co kilka minut dopadał do okna.

- Jeżeli wypatrujesz świętego Mikołaja, to pamiętaj, że w tym roku może zapomnieć o naszym domu.

Chciała, by zabrzmiało to żartobliwie, ale w jej głosie wcale nie było wesołości. W tym roku nie mogła sobie pozwolić na wiele prezentów i wciąż się zastanawiała, jakim cudem uda im się przetrwać w nadchodzących miesiącach. A nawet wołała już nie myśleć, co będzie, gdy urodzi się dziecko...

Postanowiła jednak nie rozważać najczarniejszych scenariuszy i nie zastanawiać się co, gdzie i jak. Uznała też, że nie jest to najbardziej odpowiedni moment, by rozmyślać o Franku Taggercie, tym do szpiku kości zepsutym...

Uspokój się, upomniń się w duchu. Gniew nie służy zarówno nienarodzonemu maleństwu, jak i Eliemu.

- Czy przyjdzie do nas Chelsea? - zapytała po chwili.

- Nie teraz. Może później... - odrzekł Eli i niespodziewanie uśmiechnął się radośnie.

Prawdę powiedziawszy, Randy odniosła wrażenie, że nagle nabrał szczególnej energii. Szybko jednak odzyskał niewzruszony spokój - rozłożył się na sofie w salonie i zatopił w lekturze jakiegoś czasopisma. Ponieważ jednak był to magazyn dla kobiet, Randy bez trudu zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Synu, chciałabym wiedzieć, co się dzieje. Przez cały ranek raz po raz biegasz do okna, a na dodatek... - Urwała i nadstawiła ucha. - Mam wrażenie, że słyszę tętent końskich kopyt. Co ty znowu wymyśliłeś? Przygotowaliście z Chelsea jakiś psikus?

Eli posłał jej niewinne spojrzenie, po czym znowu zatopił się w lekturze.

- Eli! Wydaje mi się, że na nasz ganek próbuje wejść koń!

Jej syn siedział w bezruchu i wbijał oczy w gazetę, ale ponieważ sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć śmiechem, Randy była przekonana, że gdy tylko otworzy drzwi, ujrzy śliczną Chelsea na kucyku, z koszykiem pełnym łakoci w dłoni. Postanowiła więc perfekcyjnie odegrać swą rolę.

Wytarła ręce, przybrała surowy wyraz twarzy i podeszła do drzwi - otworzywszy je zamierzała zrobić zaskoczoną i jednocześnie zachwyconą minę.

Okazało się, że nie musiała udawać zdumienia. Choć właściwie „szok” byłby tutaj bardziej odpowiednim słowem. Kiedy spojrzała przez szybę w drzwiach, nie zobaczyła kuczka Chelsea, tylko potężnego czarnego ogiera zamierzającego dostać się na jej ganek. Na grzbiecie konia siedział mężczyzna w czerni, który usiłował poskromić wierzchowca, starając się przy tym nie wyróżnić głową w dach ganku.

- Czy gdzieś w pobliżu są jakieś klacze? - spytał jeździec, próbując przekrzyczeć stukot kopyt.

- W sąsiedztwie - odchrzyknęła Randy, konstatuując w duchu, że ten głos brzmi znajomo. - Chętnie wskażę panu drogę - powiedziała, wychodząc przed drzwi.

Po kilku ostrych szarpnięciach uzdą i soczystych przekleństwach mężczyzna w końcu zapanował nad koniem, po czym pochylił się i z torby przytroczonej do siodła wyciągnął grubą kopertę.

- Pani Harcourt, chciałbym pani ofiarować...

Kiedy na nią spojrział, poczuł ściskanie w piersi.

- Miranda! - wyszeptał.

Randy zadziałała automatycznie. W jednej chwili patrzyła, jak ubrany na czarno mężczyzna próbuje okiełznać potężnego ogiera, a w następnej chowała się za drzwiami, zamykając je na wszystkie możliwe zasuw.

Frank natychmiast zeskoczył z konia i nie zwracając uwagi na zwierzę, ruszył w stronę zamkniętych drzwi.

- Mirando! Otwórz! Muszę z tobą porozmawiać!

Randy oparła się plecami o ścianę i spod przymrużonych powiek przyglądała się synowi, pochylonemu nad gazetą. Gdyby ktoś go nie znał, mógłby pomyśleć, że trzyma w dłoniach najbardziej interesujące czasopismo, jakie czytał w życiu.

- Eli! Dobrze wiem, że masz z tym wszystkim coś wspólnego! Żądam, żebyś natychmiast wyjaśnił mi, o co chodzi!

Tymczasem stojący na ganku Frank nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Był całkowicie zdezorientowany. Myślał, że spotka mamę Eliego, a tymczasem ujrzał Mirandę - kobietę, którą kochał i o której od dwóch miesięcy nie mógł zapomnieć.

Oparł się na moment o ścianę i nagle wszystko zrozumiał. To Eli porozumiał się z jego bratem, Mikiem, i wspólnie ściągnęli Mirandę do chaty w górach. Początkowo ogarnęła go wściekłość, że dał się tak oszukać, ale już parę sekund później uśmiechał się od ucha do ucha. Bo czyż coś lepszego mogło go spotkać w życiu? Chłopiec, którego kochał, był synem kobiety, którą także kochał, a na dodatek dowiedział się od tego chłopca, że jego matka spodziewa się dziecka - a więc jego, Franka dziecka!

- Mirando! - wykrzyknął przez drzwi. - Musimy porozmawiać!

- Po moim trupie! - odparła. - I zabieraj tego konia z mojego ganku!

Chwilę później Randy spojrziała na syna.

- Kiedy z tobą skończę, będziesz gorzko żałował, że wtrąciłeś się w cudze sprawy, młody człowieku.

Ona też już zdążyła się zorientować, że jej obecność w górskiej chacie Franka miała wiele wspólnego z knowaniami Eliego i Chelsea.

Eli udawał bardzo pochłoniętego czasopiśmem, ale tak naprawdę z zafascynowaniem przyglądał się całej sytuacji i robił wszystko, by nie uronić ani słowa z wymiany zdań pomiędzy mamą a Frankiem.

W końcu Frank doszedł do wniosku, że zbyt długo okazywał cierpliwość - chwycił więc jedną z doniczek stojących na ganku, rozbił szybę w drzwiach i otworzył zamek.

- Jak śmiesz! - wykrzyknęła Randy, gdy już znalazł się w środku. - Natychmiast dzwonię po policję!

Chwycił ją, zanim zdążyła dobiec do telefonu. Wiedział, że powinien jej wiele wyjaśnić, nie miał jednak pojęcia, od czego zacząć. Teraz pamiętał jedynie ich wspólną noc i najwspanialszy seks, jakiego doświadczył w życiu. Bez zastanowienia przyciągnął więc Randy do siebie i zaczął namiętnie całować.

Kiedy w końcu oderwał usta od jej warg, powiedział:

- Posłuchaj, Mirando. Zapewne nie wiem, jak dorównać bohaterom romansów, ale nie mam żadnych wątpliwości, że cię kocham.

- Przecież mnie porzuciłeś - wyszeptwała.

- To prawda. Moje uczucie było tak nagłe, że nie umiałem się z nim uporać. Słyszałem niejednokrotnie o zakochiwaniu się, nigdy jednak nie zdawałem sobie sprawy, że to może być przerażające. Przedtem wydawało mi się, że to tylko miłe uczucie.

- Nie - powiedziała, a on znów zaczął ją całować.

- Chciałbym jednak, żebyś mnie wreszcie wysłuchała. Kocham cię i już od dłuższego czasu kocham Eliego. Nawet ci o tym mówiłem, gdy byliśmy w górach.

- Eliego?

- Tak. Kocham też dziecko, które nosisz, i zrobię wszystko, żeby być dla niego jak najlepszym ojcem. Poza tym... - Nagle opuściła go cała odwaga. Przycisnął Randy mocno do siebie. - Wyjdź za mnie, Mirando. Proszę, błagam, zostań moją żoną. Wybacz, że uciekłem od ciebie tamtego dnia. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Myślałem, że uda mi się o tobie zapomnieć. Że to wszystko stało się jedynie za sprawą blasku księżyca i twojego kremu z poziomkami.

- Wszystko, to znaczy co?

-

- Nie wiem. Wiem jedynie, że cię kocham. Proszę, wyjdź za mnie.

Zanim Randy zdążyła odpowiedzieć, Eli poderwał się z kanapy i zaczął wykrzykiwać:

- Tak! Tak! Tak! Ona za ciebie wyjdzie! Tak! Oczywiście!

- Nie wiem... - zaczęła, tymczasem za jej plecami Eli zaczął całować swoją dłoń a Franka tak to zdumiało, że w pierwszej chwili nie mógł pojąć, co chłopak chce mu w ten sposób przekazać.

W końcu jednak się zorientował. Nie pozwolił więc Randy dojść do głosu, tylko znów przycisnął usta do jej ust.

- Pomyśl o dzieciach - powiedział po chwili.

- Ale nie wiem, czy...

Znów zaczął ją całować.

- Kocham cię, Mirando. A czy ty kochasz mnie choć troszkę?

- Tak. Tak, chociaż zupełnie na to nie zasługujesz. - Odchyliła się do tyłu, by spojrzeć mu w oczy. - A co z Julianem? Nie byłeś dla niego zbyt miły.

- Pierwszy raz w życiu doświadczyłem uczucia zazdrości! Po sześciu tygodniach leniuchowania był potwornie znudzony brakiem pracy, przyjąłem go więc z powrotem za połowę poprzedniej pensji. Mirando, proszę, wyjdź za mnie!

W tej samej chwili na sąsiedniej ulicy włączył się alarm samochodowy. Przestraszony tym dźwiękiem koń nieoczekiwanie wpadł do domu, zwalając wszystkich - Franka, Randy i Eliego - z nóg.

- Ty głupi zwierzaku - mruknął Frank, gdy ogier zaczął obwąchiwać mu kieszenie w poszukiwaniu jabłek.

- Któremu z was przyszedł do głowy pomysł z koniem?

- Mnie - odpowiedzieli jednocześnie i w tym momencie Randy zdała sobie sprawę, kogo cały czas przypominał jej Frank - Eliego. Gdy sobie to uświadomiła, nie miała już wątpliwości, co powinna zrobić.

- Tak! - zawołała, obejmując go za szyję. - Tak, wyjdę za ciebie.

Eli objął ich oboje.

- A więc dostałem najlepszy możliwy prezent na Gwiazdkę i moje urodziny - oznajmił. - I w gruncie rzeczy wolę iść do Cambridge niż do Princeton.

Ale Randy i Frank nie dosłyszeli jego słów, bo znowu namiętnie się całowali.

Uśmiechając się radośnie, Eli wyplątał się z ich uścisku i pobiegł do swojego pokoju, aby zadzwonić do Chelsea i oznajmić jej dobrą nowinę.

